

- Fidel Castro o religii i rewolucji – str. 12
- Łódzki Teatr Wielki w Bawarii – str. 14
- Ekspert od tekstów z pogrózkami – str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 35 (1483) ROK XXIX

30 SIERPNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Oczy i serca aeroplanu

BOGDA MADEJ



Foto: Grzegorz Gałasiński

Za czasów mojej babci, na latające maszyny mówiło się – aeroplan i było to bardzo ładne. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska napisała nawet krótki, ale piękny wiersz pod takim właśnie tytułem.

*Aeroplan, najpiękniejszy
ptak biały,
leci w oddal, ponad chmur
szarą –
Ma skrzydła jak szarańcza.
Jest jak orzeł śmiały.
A oczy ma i serce
mężczyzny*

Dziś mówimy po prostu – samolot. I już nie ma tego uroku. Ale i samoloty dziś są inne. I inni mężczyźni – oczy i serca tych maszyn.

NA LUBLINKU SAMOLOTY STAŁY W RÓWNYCH RZĄDKACH

przymocowane sznurkami do ziemi. Takie podobne do siebie. No, może tylko żółto-niebieskie „Wilgi” różniły się trochę. Przypominały wielką wążkę z przetrąconym ku górze odwołkiem.

Z nieba spływał ku ziemi kolorowy samolot. Rzuciło nim przeraźliwie. Raz przechylał się na jedno skrzydło, to znów na drugie.

– Jakoś nieładnie ładuje – zasmucił się Grzegorz Gałasiński, który wybrał się ze mną na lotnisko, aby porobić zdjęcia samolotom i pilotom.

Samolot szczęśliwie wylądował i pokłował w naszą stronę, aby zająć swoje miejsce w szeregu. Wtedy od budynku portu lotniczego na Lublinku oderwał się mały fiolet i podjechał do pilota ciągle siedzącego w kabinie. Z fioletu wysiadł mężczyzna w lotniczym mundurze. Wydał mi się kimś bardzo ważnym, a na dodatek wszystkim to działo się niedawno nas, więc postanowiłam zadać mu kilka pytań. A Grzesiu uśmiechnął się, że zrobi wspomniane zdjęcie.

– A państwo dokąd? – rozległ się za nami groźny głos.

Obejrzałam się. To milicjant siedzący w przejeżdżającym samochodzie starał się nas zatrzymać.

– Do tego pana! – odwróciłam się, wskazując mężczyznę w lotniczym mundurze. Milicjant machnął zrezygnowany ręką, a pan w mundurze spojrział na mnie z osłupieniem. W oczach pilota też dostrzegłam jakby przerażenie, co mnie szczerze ubawiło.

– Pilotowi nie wolno zadawać żadnych pytań i nie wolno mu udzielać żadnych odpowiedzi – powiedział pan w lotniczym mundurze, starając się nas jak najszybciej pozbyć.

– Nie mam zamiaru zadawać pytań pilotowi – powiedziałam – tylko panu. Z kim mogłabym porozmawiać o mistrzostwach?

– Proszę zapytać w budynku i zabrać tego pana! –

wskazał na Grzesia Gałasińskiego, który usiłował wejść do kabiny przerażonego pilota, aby zrobić tam zdjęcie.

– Idziemy panie Grzesiu! Tu nas nie chcą! – zawołałam i ruszyliśmy ku budynkom Aeroklubu Łódzkiego. Katem okazało się, że zobaczycie, że obaj mężczyźni odetchnęli z ulgą.

DLACZEGO ONI BALI SIĘ BEZBRONNEJ KOBIETY

– zastanawiałam się podchodząc do budynku portowego, gdy nagle zaszokował mnie zaskoczony dialog.

– Czy ty jesteś jeszcze tajny, czy już nie? – padło pytanie.

– Jeszcze tajny – odpowiedział mężczyzna w krótkich spodniach i gdzieś pobiegł.

Różni ważni ludzie, do których mnie kierowano nie mieli ani chwili wolnego czasu. Wreszcie znalazł się człowiek, który też czasu nie miał, ale miał wiele życzliwości dla ludzi.

– Wiesław Fiszer – przedstawił się, a z plakiem, jaką miał przypiętą do koszuli, wynikało, że jest zastępcą dyrektora III Samolotowych Mistrzostw Europy w Lataniu Precyzyjnym.

Skoro już miał tę życzliwość dla ludzi, więc go zapytałam o dziwne zdenerwowanie pana w

lotniczym mundurze i pilota, wyjaśniając przebieg całej sytuacji.

– O Jezul! – wykrzyknął nasz rozmówca i złapał się za głowę. – Mam nadzieję, że protestu nie będzie. Ale pani narozrabiała. Toż to był sędzia, który miał odwiedzić pilota do aresztu.

Musieliśmy z Grzesiem Gałasińskim mieć bardzo głupie miny, bo pan Wiesław Fiszer zaczął się śmiać i zabrał nas do siebie, aby napić czymś orzeźwiającym i zapoznać z regulaminem mistrzostw.

Najkrócej można to tak wyjaśnić.

Pilot musi wykonać 2 próby obliczeniowe, 2 loty nawigacyjno-obszernościowe i 4 próby lądowań. Próba obliczeniowa poprzedza lot i polega na tym, że na godzinę przed startem pilot dostaje mapę, zestaw zdjęć i dane potrzebne do wyrysowania trasy. Może posługiwać się co najwyżej suwakiem logarytmicznym i linijką. Pilot nazywają tę próbę „klasówką”. Może ona trwać najwyżej 45 minut. Przy obliczaniu czasu przelotu można pomylić się co najwyżej o... 5 sekund, a w obliczeniach kursu o... 2 stopnie. Wyniki „klasówki” porównuje się z wynikami obliczeń komputera. Za błędy pilot otrzymuje punkty karne.

Inne zupełnie zasady obowiązują w lotach nawigacyjno-obszernościowych. Pilot leci korytarzem powietrznym o szerokości 600 m i nie może wyjść poza te 600 m, bo znowu karne punkty. Kolejne odcinki trasy musi pokonać w czasie na to przewidzianym z dokładnością do 2 sekund. W czasie lotu pilot musi rozpoznać miejsca przedstawione na zdjęciach, które otrzymał razem z trasą lotu, nanieść to na mapę, a przy tym wszystkim – zapewne po to, aby mu się nie nudziło – odnaleźć znaki ułożone w kształcie liter albo figur geometrycznych. Znaki te układają na ziemi sędziowie i pilnują, aby pilot nad tym znakiem nie kłamał. Wszystko, co pilot ma zrobić lecąc nad trasą jest dokładnie przewidziane i określone. Na przykład nad punktem kontrolnym, gdzie mierzy się czas lotu, pilot musi wykonać gustowną pętelkę, a start i lądowanie też musi być dokładne co do sekundy. Dlatego to się nazywa latanie precyzyjne.

Ale na tym nie koniec.

Każdy zawodnik musi wykonać cztery lądowania: normalne, czyli z użyciem silnika i kłap, przez przeszkodę, bez użycia silnika, ale posługując się kłapami i czwartym – bez użycia silnika i kłap. Może wydawać się, że dla dobrze wyszkolonego pilota żadna to sztuka, ale na Lublinku w pierwszym dniu trwania III Mistrzostw wielu zawodników nie mogło wykonać prawidłowo tego zadania. Po prostu nie trafiali w linię, na której trzeba było posadzić samolot.

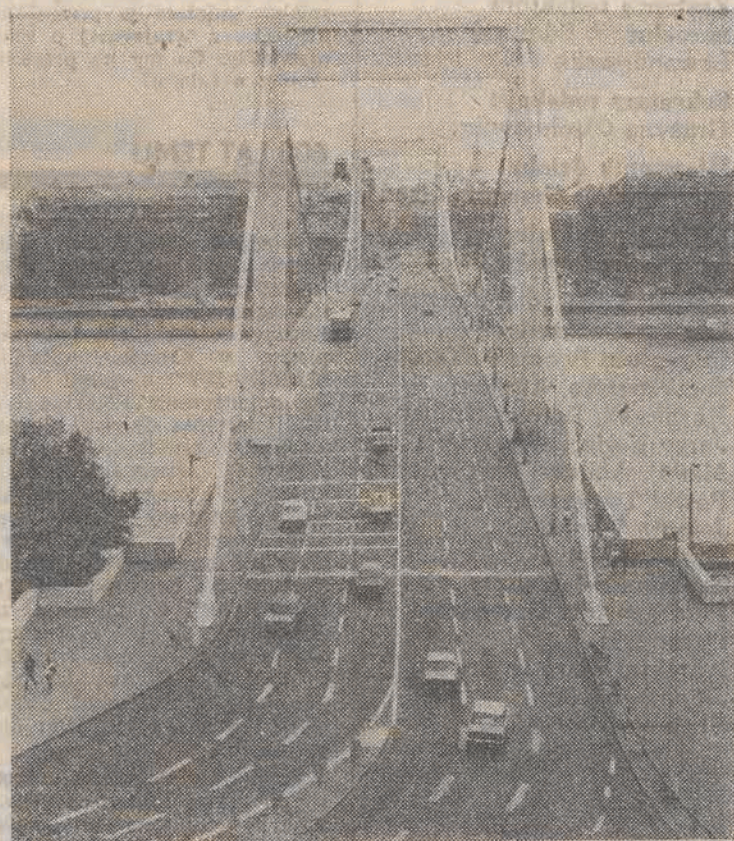


Foto: Grzegorz Gałasiński

Tajemnica wycieczki na Węgry

BARBARA KONOPACKA

Z trudem odnajdujemy podwórko, na którym autobus biura podróży oczekuje na wycieczkowiczów. Nerwowe poszukiwania miejsc. Gdzie położyć walizki?!

– Nie otworzę bagażnika! – krzyczy kierowca. – Już dosyć bagażu! Nie dam!!

Dziecko płacze w głos. Decydujemy się wreszcie położyć bagaż w tylnej części autobusu.

Pierwszy etap podróży kończy się w Krakowie. Siedzimy.

KILKA GODZIN NA KRAKOWSKIM RYNKU

czekając na podłg kolację i nocleg w hotelu. Jutro czeka nas autobusowy maraton. Od godz. 6 rano do 22 wieczorem. W dodatku bez obiadu. Nie stać bowiem polskiego biura podróży na nocleg w Czechosłowacji, przez cały ten kraj musimy przejechać w ciągu jednego dnia, aby w tym dniu również dotrzeć nad Bałaton. Czeką nas też przejście przez dwie granice.

W napięciu oczekują pasażerowie polskiej odprawy celnej. Może być surowa! Ale nie było się czego bać. Tylko dwie dziewczyny musiały natychmiast zapłacić po 6.000 zł cła za wywożone ubrania robocze? Nie byłoby w tym wysokim cła nie specjalnie dziwnego, gdyby nie fakt, że maksymalnie wolno mieć przy sobie na granicy tylko do 3.000 zł.

– Wyśiadaj! – Padają nazwiska, nazwy ulic, numery kwater. Budzimy dziecko, które jest kompletnie mokre, spoczone. Ale wstaje i raźnie pcha wózek z walizką po ciemnej, wybiśniętej uliczce. Dorosłych zawadza nerwy ze zmęczenia. Wybuchają kłótnie. Wszyscy nagle mają pretensje do pilotki, która stara się jak najszybciej, jak najsprawniej wszystkich rozmieścić.

ELEGANCKIE, PIĘTROWE DOMKI

ze wszystkimi wygodami, położone naprzeciw plantacji winogron, ocienione trzciną, chwiejącą się łagodnie na wietrze. Gospodyni na nasz widok nie ukrywa swego zawodu Polacy? Oni zawsze do tej pory gościli Niemców? Lubią Niemców. Niemiecki jest jedynym językiem, jaki znają. Stoimy przemęczeni, mokre dziecko zasypia na stojąco. Gospodyni prawie że nie wpuszcza nas do domu. Po dłuższej chwili, niechętnie, pokazuje pokój, zrezygnowana. Nasi współtowarzysze kwatery stawiają na stole butelkę wina. Łamaną niemiecką wypowiadają oderwane słowa...

Następnego dnia starszy pan, który był już tutaj kilkakrotnie, pokazuje nam okolice. Duża to pomoc dla nas, nie mających pojęcia, w którą stronę pójść. A chodzić trzeba daleko. Do Balatonu idziemy 40 minut zakurczonym pociągkiem szosy, po której pędzą samochody. Nie ma żadnych kwiatów, żadnych drzew ocieniających tę drogę. Zupełnie jakby nie było tutaj turystów, o których należałoby zadbać. Strach nas ogarnia.

Starszy pan prowadzi nas na skróty – znany sobie

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Gratyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Marek Kropowski,
Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzewski, Władysław
Malka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa”
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”. Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli; 2. dla indywidualnych
prenumeratorów: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u doręczyteli;
osoby fizyczne zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” opłacają prenumeratę
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka —
Ruch”; 3. prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw
ul. Tuwowa 28 01-558 War-
szawa, konto NBP XV Oddział
w Warszawie, nr 1153 201045.
-139 11. Prenumerata ze zlece-
niem wysyłki za granicę pocią-
ga za sobą dodatkową opłatę
z tytułu kosztów przesyłki pocztowej
krajowej o 50 proc. dla
zleceń nadawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceń instytucji
i zakładów pracy. Termin
przyjmowania prenumerat
na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprzed-
zającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 2585, B-2.

Przegląd prasy

Sąsiedzi powinni się dobrze
znać, szanować, lubić i współ-
żyć z sobą w zgodzie. Sąsie-
dzi jednak — nie ma reguł
bez wyjątków — na ogół czu-
ją do siebie, jeśli już nie nie-
chęć, to obojętność. I odnosi
się to nie tylko do ludzi obok
siebie mieszkających, ale — co
gorzej — do narodów. Wza-
jemna niechęć lub obojętność
na wspólnie przeciętą sprawę
bierze się z konfliktów, jakie
miały miejsce w przeszłości,
ale też... z wzajemnej o sobie
niewiedzy. Co my na przykład
wiemy o Litwie?

600 LAT TEMU

14 sierpnia 1385 roku „wielki
książę Litwy, Jagiełło, zobo-
wiązał się do wstąpienia czy
też złączenia swego państwa z
Koroną Polską”. Akt ten pod-
pisano w Krewie. „ZYCIE
WARSZAWY”, z okazji 600-
lecia połączenia Polski z Lit-
wą i nastania dynastii Jagiel-
lońskiej, publikuje artykuł
Henryka Wisnera „Zyski i
straty”, z którego pochodzi cy-
towane powyżej zdanie, oraz
artykuł znawcy spraw litew-
skich „Już tylko relikty”. Kolum-
nę „Zycie Warszawy” (nr 194 z 21 sier-
pnia 1986 r.) uzupełnia fragment
z książki Pawła Jasienicy
„Polska Jagiellońska”. Fra-
gment ten nosi tytuł: „Bez dro-
gowizmu”.

Władysław Jagiełło ochrzcił
się 15 lutego 1386 roku. Akt w
Krewie podpisany 14 sierpnia
1385 roku zawierał zobowią-
zania tylko strony litewskiej. 2
lutego 1386 roku odbyło się
spotkanie w Lublinie i wtedy
dokonała się unia Polski z Lit-
wą, po raz drugi nastąpiła
unia w tymże Lublinie w 1569
roku i — jak słusznie utr-
mywał Paweł Jasienica — „tra-
dycja zezwalała jednak
nazwać „unią lubelską” dla u-
kładu końcowego i ostatecz-
nego, zawartego bez mała dwieście
lat później w tym samym mie-
ście”. 19 lutego 1386 roku Wła-
dysław Jagiełło zawarł małżeń-
stwo z Jadwigą, a 4 marca te-
go roku został koronowany
królem Polski.

„Dla Litwy — pisał Henryk
Wisner — oznaczało wybór
drogi, rozstrzygnięcie dylema-
tu: Rzym czy Konstantynopol,
świat alfabetu łacińskiego czy
cyrylicy, oparcie się na Zachód
albo odwrócenie się od
niego”.

Jak w każdym wyborze, aby
coś zyskać, coś trzeba stracić,
z czegoś zrezygnować. Litwa
wszakże nigdy nie weszła na
trwałe w skład jednego pań-
stwa polskiego, była to Rzecz-
pospolita Obojga Narodów, Lit-
wa była tylko Wielkim Księ-
stwem, co nie wszystkim się
podało i nie wszystkim da-
wało satysfakcję. Ambicje i
plany były wielkie wśród tak
polskiej, jak i litewskiej arys-
tokracji. Litwini zarzucali Pol-
sce polonizację Litwy, co nie-
wątpliwie było faktem, gdyż —
jak pisał Henryk Wisner —
„polskość wkraczała na Litwę
trzymając w zasadzie drogami:
poprzez dwór wielkoksiążęcy
albo królewski, miejsce spot-
kań, wzajemnego oddziaływa-
nia i tworzenia wzorów prze-
noszonych poprzez zamki moż-
nych do dworów szlacheckich,
poprzez Kościół, zarówno kato-
licki, jak i ewangelicki, po-
przez związane z nim szkolnic-
two”. Traktowano to jednak
mniej więcej normalnie, bo i
polska szlachta coś też brała z
Litwy, a problem „polonizacji
kulturalnej narodził się dopiero
dopiero w wieku XIX i dopie-
ro wówczas zaważył na wza-
jemnych stosunkach”. Pamię-
tajmy jednak, że ówczesna Lit-
wa była państwem wielonarod-
owości, że w wyniku
procesu historycznego właśnie
w XIX wieku ukształtują się
narody: litewski, białoruski i
ukraiński. Polacy natomiast
nadal będą stali na stanowisku
federacji, jakby nie było na
świecie w ogóle, a w tej czę-
ści Europy szczególnie nie zmie-
niło.

„Zmiana tonu — pisał Hen-
ryk Wisner — pojawiła się w
drugiej połowie XIX wieku,
gdy szukając przyczyn utraty
niepodległości wskazano na
wpływ, jaki mógł mieć zwią-
zek z Litwą. Zarzuty, podtrzy-
mywane i dzisiaj, sprowadzi-
ły się do trzech: osłabienie
substancji narodowej w na-
stępstwie ruchów migracyjnych,
wyjście z ziem etnicznie pol-
skich ludzi najbardziej rzut-
kich; zyskanie wpływu na
rządy Rzeczypospolitej ludzi
form demokratycznych niena-
wykłych, a zatem katastrofal-
nego obniżenia poziomu życia
politycznego; ciążenie, a
przynajmniej przyspieszenie
konfliktu z państwem mos-
kiewskim”.

Henryk Wisner tych zarzu-
tów nie traktuje, jako jed-
ynych i tylko prawdziwych, po-
wiada, że można „z tymi
stwierdzeniami się spierać”,
ale zostawmy to już history-
kom na inną okazję, a tu przy-
pomnijmy, że spory o treść
unii i jej skutki dla obu
państw stały się żywe i nie
bez znaczenia dla dalszych los-
ów obu narodów na początku
XX w., kiedy oba państwa szu-
kały drogi do niepodległości.
Piotr Łossowski przypomina, że
„na początku XX wieku ze
strony polskiej podjęty został
wielki wysiłek organizacyjny i
intelektualny, ażeby ożywić, u-
twierdzić ideę unii. W 1910 r.,
w 500-lecie pamiętnej bitwy,
zorganizowano uroczystości
grunwaldzkie, które uświetliło
odświeżenie pomnika Jagiełły w
Krakowie. Głównym wszakże
celem miało być symboliczne
uzmówienie unii. Zamysł ten
nie udało się jednak zrealizo-
wać, gdyż mimo zaproszenia,
delegaci litewscy nie przybyli
na uroczystości, manifestując
negatywny stosunek nie tylko
do obchodów grunwaldzkich,
lecz do unii w ogóle”.

Jeszcze w czasie powstań —
przypomina Piotr Łossowski
— Litwini gromad-
nie stawiali po stronie
polskiej i to nie tylko szlach-
ta, ale i chłop. W tym czasie
byli oni jakby narodowo nie
rozdzieleni. Ich odrębność oby-
czajowa i językowa była czymś
naturalnym. „Język chłopów —
pisał Piotr Łossowski — litew-
ski, białoruski, ukraiński —
nie był językiem aspiracji na-
rodowych, lecz środkiem poro-
zumiewania się w sprawach
codziennych”. Aż

NAGLE WSZYSTKO SIĘ ZMieniło

„Rozwój życia społeczno-gospo-
darczego, zwłaszcza po zalesie-
niu pańszczyzny, spowodował
stopniowy wzrost aspiracji.
Dzieci chłopie zaczęły gar-
nąć się do nauki”. Do tej po-
ry awans społeczny, zdobyte
wykształcenie, równoznaczne
było z porzuceniem mowy ojc-
ów, wyrzuceniem się swego
pochodzenia, zerwaniem ze swą
klasą. Teraz staje się inaczej.
„Powstawała zaczęła — pisał
dalej Piotr Łossowski — naj-
pierw niewielka, ale potem co-
raz liczniejsza, warstwa młodej
inteligencji, wywodząca się z
chłopsztwa. Stała się ona siłą
inspirowaną rodzicami się ru-
chów narodowych”. Zrozumi-
ała, że inteligencja ta musiała
wyzwolić się spod wpływu pol-
skich, musiała poddać rewizji
całą wspólną przeszłość. „Dys-
kusje dotyczyły przeważnie —
pisał Piotr Łossowski — prze-
szłości, przy czym kwestię
wzbudzającą najwięcej kontro-
wersji była ocena unii polsko-
litewskiej. Kto pozytywnie o-
ceniał unię, kto wypowiadał się
za jej utrzymaniem, był Litwi-
nem w tradycyjnym, mickiewi-
czowskim pojęciu tego słowa.
Litwin nowoczesny unię zde-
cydowanie potępiał”.

Problemem stosunków pol-
sko-litewskich poświęcił też u-
wagę miesięcznik społeczno-
kulturalny „KONTRASTY”,
zamieszczając w numerze 8 (z
sierpnia 1986 r.) rozmowę Wło-
dzimierza Kowalskiego z Pio-
trem Łossowskim „Zdrady nie
było”. Piotr Łossowski — jak
sam opowiada — we wrze-
śniu 1939 roku znalazł się
wśród kilkunastotysięcznej
rzeszy uchodźców, którzy zna-
leźli schronienie na Litwie.
„Mieszkałem na wsi w powie-
cie kiejdańskim i wilkomiera-
kim — wspomina. — Znalazłem
sporo żyjących od Litwinów.
Poznałem język, obyczaje, kul-
turę tego narodu. Tak przysła-
fascynacja Litwą, jej dziejami
i kulturą. Latem 1944 r. po
wyzwoleniu zostałem żołnie-
rzem polskim i szlakiem wo-
jennym powróciłem do kraju.
Swoją podróż na Litwę mi-
nie wspomina”.

Piotr Łossowski jest między
innymi autorem dwu książek:
„Po tej i tamtej stronie Niemi-
na — stosunki polsko-litewskie
1833—1939” oraz drugiej, która
z pierwszą stanowi całość
„Litwa a sprawy polskie 1932—

—1940”. Książki te zniknęły
niemal błyskawicznie z księ-
garń, co tylko dowodzi, że rze-
czywiście mało wiemy o na-
szym litewskim sąsiedzie, a
wiedzieć chcemy. I to dobrze.

WRÓĆMY DO PROBLEMU ZDRADY

Chodzi o to, że niektórzy pol-
scy historycy zarzucają nie-
którym... Komu Polakom czy
Litwinom? Tu właśnie zaczyna
się problem, którego nie ma.
Ale zarzut jest, że ci, którzy
opowiedzieli się za Litwą zdra-
dzili Polskę.

„Czy Czartoryscy, Sapieho-
wie, Tyżkiewiczowie, a
może i Miłosz oraz im podobni
byli pochodzenia polskiego? —
mówi Piotr Łossowski. — W
dużym stopniu magnaci ziem
wschodnich Rzeczypospolitej
Obojga Narodów wywodzili się
ze starych rodów kniaziów li-
teńskich i ruskich... byli jed-
nak obywatelami Polski (...). Do
spraw ocy narodo- wych w o-
kresie gdy formowały się na-
wówczas narody trzeba pod-
chodzić spokojnie, z rozwagą i
dystansem. Nie jest czynem
naganym określenie się Litwi-
nem przez Oskara Miłosza i
jemu podobnych. To było po-
szukiwanie ojczyzny, a nie jej
zdrada”.

Tu niezbędne jest wyjaśnie-
nie, że Oskar Miłosz — kuzyn
Czesława Miłosza — był dy-
plomata litewskim, a jego bliski
krewny hrabia Alfred Tyżkie-
wicz — dyplomata polskim.
Generał Sylwester Żukauskus
(Zukowski), choć przynależał
do polskości, był wodzem armii
litewskiej w 1919 roku, kiedy
miedzy tą armią i armią pol-
ską dochodziło do walk. Andrzej
Szepetycki, wnuk hrabiego Alek-
sandra Fredry poczuł się U-
kraijem i był lwowskim me-
tropolimą — „Władysław Święto-
jurskim”, a jego rodzonego brata
— Polakiem i generałem wojsk
polskich. Zresztą nacjonalisci
ukraińscy w 1943 roku wy-
mordowali krewnych Andrzeja
Szepetyckiego, którzy opowie-
dzieli się za przynależnością do
narodu polskiego. Takich spraw
— nie odnoszących się już do
sławnych rodzin i nazwisk —
historia pogranicza Polski i Lit-
wy, Polski i Ukrainy notuje
wiele. Są to sprawy bolesne,
trudne i potrzebne dużo dobrej
woli, życzliwości, wzajemnej,
aby traktować je normalnie,
jako rzeczy tragiczne, bolesne,
ale przeszłe. Przyszłość musi
być inna, bo na innych zasa-
dach oparta została. Na zasa-
dach wzajemnego poszanowa-
nia i prawa każdego narodu do
niezależności, własnego bytu.

Wiele i różnych jest spraw
w naszej wspólnej przeszłości,
które wymagają spokojnego
omówienia, wyjaśnienia tak z
punktu widzenia Polaków, jak
i Litwinów. „Sprawa stosun-
ków polsko-litewskich w latach
drugiej wojny światowej —
mówi Piotr Łossowski — jest
otwarta. Ja zaledwie uszczegół-
niłem ten temat, omawiając po-
czątkowy okres wojny. Są to
tematy zawiłe i kontrowersyjne,
krążą na ten temat mity.
Okres ten musi się doczekać o-
pracowań naukowych. Oby jak
najszybciej. (...) Do omawia-
nych spraw trzeba podchodzić
bez emocji i z większym dys-
tansem. Trzeba uwzględnić tak-
że źródła litewskie, dotrzeć
motywy działania strony litew-
skiej zaangażowanej w wypad-
kach. Nie miejsce, abym przed-
stawił cały problem, ale tre-
ba podkreślić, że kolaboracja
Litwinów nie wyglądała tak
prosto. Robili oni wszystko, aby
przystosować się do nowych
warunków, działać we włas-
nym, a nie niemieckim intere-
sie”. U nas akurat raczej ma-
ło się wie o dziejach Dywizji
Strzelców Litewskich w Armii
Radzieckiej, która brała udział
w wyzwoleniu Litwy, a także
o partyzantce litewskiej. Zre-
zta w ogóle warto bliżej pozna-
wać przyszłość i teraźniejszość
narodu litewskiego, dzieje Lit-
wy Radzieckiej.

Czas ostrych sporów odchod-
zą już w przeszłość, przecho-
dzą na karty ksiąg historycz-
nych, nadchodzi czas współ-
pracy i współdziałania i dła-
tego warto znać wzajemnie swą
przeszłość, jak i naszą tera-
źniejszość.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Powrót do natury?

Mity o wyspach i krainach szczęśliwych są chyba tak stare,
jak cywilizacja. Ich pojawienie się było i jest symptomem
niezadowolenia z warunków bytowania w danym miejscu kuli
ziemskiej, gdzie akurat człowiekowi żyć przypadło. Jednocześnie
nie wyraża się w tych mitach tęsknota za życiem urządzonym
idealnie, tchnącym doskonałością, na miarę naszych wyobrażeń
o dobrobycie i bezpieczeństwie, o ładzie i sprawiedliwości.

No, ale ostatecznie nie mało jest i u nas ludzi, których nie o-
puścił zmysł rzeczywistości i wcale nieskłonni są wierzyć w ist-
nienie szczęśliwej krainy utopii. Myśląc nie tylko o sobie, zdają
sobie sprawę, że jedyną realną drogą do poprawy warunków
życia ogółu społeczeństwa wiedzie przez ulepszenie funkcyj-
owania państwa, w którym żyjemy.

To oczywiście, że różni różnie wyobrażają sobie zagrożenie dla
naszego zdrowia i spokoju, porządku i dobrego bytu, do wszy-
stkich jednak dociera, choć w niejednakowym stopniu, poczucie
narastającego niebezpieczeństwa dla środowiska naturalnego i
coraz więcej ludzi rozumie, iż staje się to w skali globalnej
problemem nadrzędnym.

Pozwolę sobie jednak nie zgodzić się z rozpowszechniającym
się u nas mniemaniem, że jesteśmy tak samo wystawieni na
główne zagrożenia cywilizacyjne, jak kraje najwyżej rozwinięte
i że zahamowanie dalszego rozwoju przemysłowego jest najpew-
niejszą gwarancją naszego zdrowia i ogólnej pomysłowości.

Otóż wydaje mi się, że nie wolno niefrasobliwie stawiać zna-
ku równości pomiędzy krajami wysoko uprzemysłowionymi i
wybitnie zurbanizowanymi, gdzie chętniej walczy ze szkodni-
kami i procesów wytwarzania żywności wtargnęła do mniejszych
osiedli, a krajami które stoją dopiero przed szansą pomnożenia
bogactwa narodowego i podniesienia stopy życiowej ludności
przez rozwój przemysłu, zwłaszcza oparty na własnych surow-
cach. Na zdrowy rozum, trend ekologiczny jest w pierwszym
przypadku znacznie bardziej uzasadniony niż w drugim, gdzie,
jak np. w krajach „trzęsącego świata”, wyżywienie ludności czy
nawet ratowanie tysięcy przed śmiercią głodową są najpierwszymi
zadaniami, a groźba przemysłowych skażeń musi wydawać
się odległą i nieistotną.

Podobnie też (uwzględniając wszelkie proporcje) przesadne są
nierzastroje antyindustrialne w niektórych polskich środowis-
kach, wyrażające się w obawach, że dalszy rozwój przemysłu
(przebiegiem i tak znacznie przyhamowany z powodu kryzysu)
prowadziłby nieuchronnie do całkowitej degradacji środowiska
naturalnego, a w konsekwencji obciążony nadmiernie budżet re-
sortu zdrowia pożerałby ewentualne zyski wypracowywane przez
rozwój przemysłu.

Mam wątpliwości czy ten kierunek myślenia jest w naszych
warunkach najtrafniejszy i czy wychodzi naprzeciw niemałym
przecież aspiracjom materialnym i cywilizacyjnym polskiego
społeczeństwa, które pragnie — i słusznie — wyraźnej poprawy
bytu i to raczej bez zwiększania dotychczasowego wymiaru i
wysiłku pracy.

Nawet w krajach najbogatszych istnieje jakaś granica możli-
wości w zaspokajaniu materialnych potrzeb i pragnień obywa-
teli, jak również w ograniczaniu zasięgu i tempa zagrożeń eko-
logicznych, z tym wszakże, iż państwa bogatsze, czyli z reguły
bardziej rozwinięte przemysłowo, stać na kosztowne urządzenia
zapobiegające skażeniom przemysłowym powietrza, gleby i wód.
Gdyby np. Wielka Brytania czy Związek Radziecki nie były pa-
ństwami tak wybitnie uprzemysłowionymi, o takim zaawanso-
waniu naukowo-technicznym, to wątpliwie, czy w rzekach Ta-
mizie i Moskwie można by, jak obecnie, łowić ryby i nawet za-
żywać kąpiele. A nasza względna słabość przemysłowo-techniczna
jest jedną z przyczyn zarówno zatrąbiania polskich rzek, jak i
niszczenia zabytków Krakowa, Torunia, Zamościa...

Myślę więc, że skazani jesteśmy na dotrzymanie kroku innym
w przyspieszaniu postępu przemysłowo-technicznego, w tym o-
czywiście na rozwój energetyki jądrowej (choćby z uwagi na
wyczerpywanie się łatwo dostępnych złóż węgla), bo bez o-
siągnięcia pewnego stopnia zaawansowania w tych dziedzinach
nie zdobędziemy się na dość skuteczną ochronę środowiska na-
turalnego.

I chyba przede wszystkim od naszych naukowców wolno
oczekiwać intelektualnego zaangażowania we wszechstronne,
wielokierunkowe przyspieszenie rozwoju naszego potencjału
przemysłowo-gospodarczego. Nie ma odwrotu od industrializacji,
niemożliwy jest cudowny przeskok w epokę postindustrialną, nie
ma odwrotu od energii atomowej, jak nie ma powrotu do lu-
czywa i strzechy.

Szlachetnymi utopiami nikt się nie pożywi.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

wśród reportaży, artykułów publicystycznych, felieto-
nów, opowiadań Czytelnik znajdzie:

— artykuł Mariana Podlaszewskiego o naszych zarob-
kach i o tym, co sami sądzimy o poziomie naszego ży-
cia,

— Witolda Kasperkiewicza o reformie gospodarczej, co
jej przeszkadza i co trzeba zrobić, żeby lepiej wcieliła się
w życie,

— Lucjusza Włodkowskiego o losach Korpusu Inter-
wencyjnego powołanego do wyzwolenia Gdańska, gdyby
Wolnemu Miastu zagroziło przyłączenie do Niemiec i
o walkach polskiej Marynarki Wojennej we wrześniu
1939 roku,

— reportaż Romana Kubiaka z Poznania, gdzie Warta
ścięciem płynie z przyczyny łódzkiego Neru, a ludzie nie
mają wody do picia,

— dalszą część rozmowy dominikanina Frei Butto z
przywódcą Kuby Fidelem Castro o stosunku komunistów
do religii i o tym co wspólnego mają komuniści z chrze-
ścijanami,

— opowieść Franciszka Lewandowskiego o Matce Ma-
krynie, która zrobiła wielką karierę w Rzymie, a kim
była naprawdę,

— relację Beaty Szuszwedyk o nowej sekcji, która po-
jawiała się w USA i ma zamiar przenieść się do... RFN,

— rozważania J. S. Knypla o znaczeniu roślin dla lu-
dzi,

— relacja Ludwika Gebela z podróży po Azji, gdzie i
kobiety są piękne i w pociągach czysto,

— sensacyjne opowieści Eugeniusza Iwanickiego
o tych, którzy naruszają prawo,
— a także donos z piekła, czyli list... z Jeżowa.
I jak zwykle poezja, proza, listy, polemiki.

W polskim piśmiennictwie socjalistycznym epoki rozbiorowej, które w istotny sposób wpłynęło na dzieło tej myśli w okresie późniejszym, punktem wyjścia do rozważań o modelu ustroju przyszłości była sprawa zdobycia władzy politycznej dla proletariatu. Twórcy reprezentujący nurt rewolucyjny sądzili, że cel ten można osiągnąć tylko poprzez przewrót społeczny.

Jak wiadomo, w tym czasie w międzynarodowym ruchu socjalistycznym panowało niemal powszechne przekonanie, że przyszła rewolucja społeczna będzie miała szanse powodzenia tylko w przypadku równoczesnego jej zwycięstwa w skali światowej, albo przynajmniej w kilku najbardziej rozwiniętych krajach. Autorytet programów z nurtu reformistycznego odrzucał rewolucję opowiadając się za drogą ewolucyjną, czyli stopniowego przekształcania ustroju burżuazyjnego w celu zbudowania w przyszłości społeczeństwa socjalistycznego. Jednak także ci pierwsi, choć nastawiali się przede wszystkim na zniszczenie państwa burżuazyjnego, nie pomineli w swoim programie, w części określonej jako minimum, postulatów reform społecznych i politycznych, aby poprzez ich urzeczywistnienie przygotować dogodne warunki wyjściowe do decydującej walki proletariatu o cel ostateczny.

Przedstawiciele obu nurtów w ramach socjalistycznym łączył podobny, negatywny stosunek do rządów państw zaborczych, wspólne dążenie do obalenia tej władzy, która odnosiła się wrogo wobec zarówno aspiracji narodowo-wyzwoleńczych Polaków, jak i celów walki klasowej proletariatu. Dzielił jednak zwolenników kierunku rewolucyjnego i reformistycznego odmienne poglądy w sprawie dróg i metod walki o obalenie aparatu państwowego zaborców na ziemiach polskich — gdy dla jednych mogło to nastąpić tylko poprzez rewolucję społeczną, to drudzy widzieli taką możliwość przede wszystkim w powstaniu narodowym.

Wyłonili się również także w sprawie konstrukcji przyszłego państwa socjalistycznego, jego form politycznych i społecznych. Dla tych pierwszych ideałem była dyktatura proletariatu, a następnie socjalistyczna wspólnota wolnych narodów w świetle bez granic państwowych, zaś dla ich oponentów niepodległe państwo narodowe o kształcie republikańskim, wszechstronnie zdecentralizowane.

W pierwszym programie socjalistów polskich z 1878 r., znanym jako program brucki, nie znajdujemy jeszcze postulatów utworzenia państwa socjalistycznego. Autorzy tego dokumentu pozostawali pod wpływem ówczesnych koncepcji anarchicznych. Przedstawili oni wizję struktury politycznej przyszłego świata po obaleniu istniejących państw, jako federację wolnych gmin, połączonych więzami ekonomicznymi i narodowymi. Jednak już kilka lat później w drukach programowych i publicystyce teoretycznej partii Proletariat wystąpił postulat państwa socjalistycznego, zastąpienia obalonych państw i ich władzy przez dyktaturę proletariatu.

Teoretycy SDKPiL od początku istnienia tej partii uznawali klasę władzą polityczną w państwie przez pracę robotniczą za konieczny i wstępny warunek urzeczywistnienia w przyszłości przemian socjalistycznych. W drukach polskich socjaldemokratów początkowo jednak nie precyzowano zakresu takich pojęć jak „władza polityczna proletariatu”, „dyktatura proletariatu”. Dopiero w przededniu rewolucji 1905 r. pojawił się w nich wyraźniej sformułowany postulat państwa socjalistycznego, co prawdopodobnie nastąpiło w związku z dyskusją, jaka rozwinęła się po ogłoszeniu programu socjaldemokracji rosyjskiej (1903), oraz innych koncepcji teoretycznych W. Lenina.

Spśród teoretyków socjaldemokracji polskiej na ten temat najszerzej zaprezentowała swoje poglądy Róża Luksemburg. Znajdujemy je w opublikowanym w prasie partyjnej (1904) komentarzu jej pióra do programu SDKPiL, ogłoszonym po dwóch latach w formie broszury („Czego chcemy?”).

Wyjaśniła tam autorka, że „klas robotnicza dąży do władzy politycznej nie po to, aby zrodzić nową formę panowania i ucisku, tylko żeby znieść raz na zawsze wszelki ucisk i panowanie (...). Ale dyktatura proletariatu będzie ostatnim wypadkiem użycia przemocy w dziejach ludzkich w ogóle i pierwszym wypadkiem użycia jej na korzyść szerokiej masy wyziedzonych”.

Akcentując, że dyktatura proletariatu będzie koniecznym, ale tylko przejściowym etapem na drodze do socjalizmu, R. Luksemburg nawiązywała do marksowskiej prognozy w sprawie organizacji społeczeństwa socjalistycznego. Jak wiadomo, koncepcja ta zakładała, że w społeczeństwie socjalistycznym nastąpi proces „obumierania” tradycyjnej organizacji państwowej, zanikania politycznych funkcji państwa i przekształcania się ich administracyjnych. Zgodnie z tym przewidywano, że w społeczeństwie przyszłości będzie obowiązywała wprawdzie zasada autorytetu, czyli pewnego elementu podporządkowania się w stosunkach między ludźmi, ale organ przedstawicielski społeczeństwa bezklasowego będzie zajmował się nie panowaniem nad ludźmi, lecz centralnym zarządzaniem rzeczą, administracją i kierowaniem produkcją, a także podziałem dóbr.

W okresie przejściowym, jak przewidywała R. Luksemburg, władza proletariacka będzie miała charakter centralistyczny, a pozostające do jej dyspozycji środki posłużą do złamania oporu klas posiadających, przeprowadzenia przeobrażeń socjalistycznych w gospodarce oraz gruntownych zmian istniejących instytucji państwowych.

Polscy socjaldemokraci, jak wynika na przykład z wypowiedzi Adolfa Warskiego i Leona Jogichesa, byli wówczas zwolennikami formuły tzw. czystej dyktatury proletariatu, który będzie ją sprawował opierając się jedynie na rewolucyjnej części chłopów. Uważali oni, że proletariatu nie będzie mógł dzielić władzy z klasą

chłopską, która w swej masie, jak oceniali, była przeciwna przeobrażeniom socjalistycznym. Odrzucali też bolszewicką koncepcję wprowadzenia dyktatury proletariatu i chłopów po obaleniu caratu, w toku budowy republiki demokratycznej.

Teoretycy SDKPiL uważali, że przyszła władza polityczna proletariatu będzie miała do spełnienia dwojakie funkcje, z jednej strony dyktatorskie w stosunku do klas posiadających, z drugiej demokratyczne wobec mas pracujących. Dyktaturę pojmowali dość szeroko, a jej podstawę miała stanowić socjalistyczna własność środków produkcji. Sądzili, że w jej ramach nastąpi kontynuacja i pełne urzeczywistnienie postulatów programowych przewidywanych dla etapu rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, a także zaadaptowanie jej rozwiązań i osiągnięć dla potrzeb budownictwa socjalistycznego. Uważali bowiem, że staną się one pomostem w procesie kształtowania nowego typu demokratycznej kultury politycznej społeczeństwa przyszłości.

PAWEŁ SAMUS

Jakie państwo w socjalizmie?

Doświadczenia rewolucji rosyjskiej 1917 r. stały się dla teoretyków socjaldemokracji polskiej impulsem do rozważań bardziej szczegółowych nad kształtem państwa socjalistycznego. Róża Luksemburg swój pogląd na ten temat przedstawiła w głosnej i kontrowersyjnej pracy. Pisała ją w więzieniu niemieckim w 1913 r., ale nie zdolała jej dokończyć, a rozważania te zostały wydane pośmiertnie w Berlinie w broszurze „Die Russische Revolution” (1922).

Wybitna rewolucjonistka powitała entuzjastycznie wiadomości o przewrocie w Rosji, choć w celu więziennej nie mogła mieć dostępu do pełnych i dokładnych informacji o tych wydarzeniach. Podkreślała, że przejęcie władzy politycznej w państwie rosyjskim przez bolszewików i wprowadzenie dyktatury proletariatu było ich historyczną zastawą. Broniła dokonanej rewolucji październikowej przed atakami ze strony prawicy socjaldemokratycznej. Nie rezygnowała jednak sama z krytycznych ocen taktyki bolszewików zarówno w sferze polityki narodowościowej, jak i sposobu urzeczywistnienia przez nich dyktatury proletariatu i demokracji w Rosji, przy czym w ostatnich swoich pracach, napisanych już po wyjściu z więzienia, pod wpływem zbliżających się doświadczeń z rewolucji niemieckiej zblżyła się w swoich poglądach do stanowiska Włodzimierza Lenina w zasadniczych sprawach.

W broszurze „Rewolucja rosyjska” przypominała, że nie istnieje gotowe recepty na budowę społeczeństwa socjalistycznego, stworzenie nowego systemu prawnego czy gospodarczego, albowiem „wszystkie wcześniejsze prognozy na temat konstrukcji gmachu socjalizmu oparte są na negacji systemu funkcjonującego w ustroju kapitalistycznym. Budowa socjalizmu powinna zatem odbywać się w toku procesu permanentnych poszukiwań i odwoływania się do rewolucyjnej twórczości mas robotniczych. W aktywnym i nieskrępowanym życiu politycznym mas ludowych widzieli R. Luksemburg najważniejszą drogę prowadzącą do uzdrowienia niedoskonałości instytucji państwa proletariackiego. Aktywność mas i ich nacisk miały, jej zdaniem, korygować mechanizmy działania instytucji demokratycznych, zaś odpowiednio warunki rozwoju twórczości politycznej klasy robotniczej powinny zagwarantować państwo proletariackie.

W okresie przejściowym do socjalizmu formą państwa będzie dyktatura proletariatu, ale taka, która zostanie głęboko nasyciona treściami demokratycznymi. Zadaniem proletariatu jest bowiem, jak podkreślała, stworzenie demokracji socjalistycznej w miejsce burżuazyjnej, co nastąpi wraz ze zniesieniem panowania klas posiadających i początkiem budowy socjalizmu. Akcentowała także, że „dyktatura ta musi być dziełem klasy, a nie małej produkującej mniejszości”, czyli powinna znajdować się pod bezpośrednim wpływem mas i podlegać ich publicznej kontroli.

Przewidywała R. Luksemburg, że państwo proletariackie powoła różnorodne robotnicze instytucje demokratyczne, które będą spełniały rolę szkoły życia publicznego. Państwo to zagwarantuje także funkcjonowanie w życiu politycznym takich zasad jak wolność prasy, zgromadzeń, wyborów powszechnych oraz innych swobód demokratycznych, także dla inteligencji, albowiem „wszystkie te normy są niezbędne, jak podkreślała, dla panowania szerokiej mas i rozwoju ludowych form demokracji. Uznawała też za konieczne wprowadzenie do mechanizmów funkcjonowania państwa proletariackiego elementów kontroli publicznej, aby zapobiegać korupcji i wyobcowaniu biurokracji rządowej oraz innych zjawisk negatywnych tego typu. Zdanem R. Luksemburg należały poprzez różnorodne instrumenty i mechanizmy zapewnić masom ludowym możliwość wpływania na przemiany socjalistyczne w dziedzinie politycznej, społecznej i gospodarczej. Przestrzegała, że „inaczej socjalizm będzie wprowadzany dekretemi, okrojony z zieleńcem stółką przez tużin intelektualistów”. Zdecydowanie przeciwdziałała się urzeczywistnieniu dyktatury proletariatu jako formy władzy wąskiej grupy ludzi, wskazując, że niebezpieczne konsekwencje mogło to przynieść dla sprawy socjalizmu.

Socjaldemokraci polscy, którzy czynnie uczestniczyli w przeobrażeniach rewolucyjnych zachodzących w Rosji, aprobowali zastosowanie przez bolszewików metody urzeczywistnienia dyktatury proletariatu. Szli z nimi ramię w ramię w konkretnych poczynaniach, choć tradycyjnie nie zgadzali się z Leninem w sprawie rozwiązania kwestii narodowej i agrarnej. Także autorzy dokumentów programowych Krajowej organizacji SDKPiL w 1918 r. uznali ro-

syjski wzorec formy władzy proletariatu, czyli rady delegatów za model uniwersalny dla europejskiej klasy robotniczej.

Odmiennej wizji państwa rysowały programy polskich partii socjalistycznych nurtu reformistycznego. Decydowały o tym niewątpliwie założenia doktrynalne reformizmu, którego teoretycy przewidywali ewolucyjną drogę przekształcania państwa burżuazyjnego w kierunku socjalizmu. Kształtowała się ona również pod wpływem innych przesłanek, zwłaszcza tak istotnej jak brak niepodległej państwowości polskiej.

Przyjęty przez Zjazd paryski (XI 1892) program Polskiej Partii Socjalistycznej mówił o potrzebie zdobycia władzy politycznej przez proletariatu w celu obalenia kapitalizmu i zbudowania ustroju socjalistycznego. W opracowanej przez Stanisława Mendelsona części wstępu tego dokumentu, ogłoszonego jako „Składowy program PPS”, znajdujemy postulat zniesienia rządów klasowych i zdobycia władzy poli-

tycznej przez proletariatu i dla proletariatu. Przyszłe państwo to „Polska socjalistyczna”, ale jej kształt nie został dokładnie opisany. Walkę proletariatu o władzę polityczną i przeobrażenia socjalistyczne odsuwano na przyszłość bliżej nie określoną, określając jako aktualne „na dziś” uchwalone przez tenże zjazd postulaty polityczne i ekonomiczne, a przede wszystkim hasło niepodległej Rzeczypospolitej demokratycznej.

Miała to być republika parlamentarna z instytucjami przedstawicielskimi powołanymi drogą demokratycznych wyborów. Państwo to powinno zapewnić równouprawnienie wszystkim narodowościom zamieszkującym na jego terytorium, zagwarantować pełny katalog praw i swobód obywatelskich, szeroki samorząd i nowoczesne ustawodawstwo pracy. Kształt klasowy i charakter władzy tego państwa nie został skonkretyzowany, choć wysunięto postulat skoplowego uspołecznienia środków produkcji. Autorzy programu prawdopodobnie przewidywali możliwość przekształcenia tego państwa w socjalistyczne drogą reform. Późniejsza praktyka PPS przyniosła różne interpretacje sformułowań programu paryskiego i odmienne wizje kształtu klasowego przyszłego państwa.

Bolesław Limanowski, prekursor hasel niepodległościowych w polskim ruchu socjalistycznym i współautor programu paryskiego odrzucał idee dyktatury proletariatu jako sprzeczną z demokracją. W późniejszych latach sformułował koncepcję „państwa unarodowionego”. Zakładał on, że pierwszym etapem urzeczywistnienia tego ideału stanie się niepodległa polska republika burżuazyjno-demokratyczna wzorowana na modelu szwajcarskim. Na dalszym etapie miała ona przekształcić się drogą ewolucji w bezklasową Rzeczypospolitą, którą Limanowski nazywał „państwem unarodowionym”. W tejże Rzeczypospolitej wspólna własność znacjonalizowanych środków produkcji będzie wchodziła w skład państwa, czyli lud pracujący. Państwo to przyjmie, jak przewidywał twórca tej koncepcji, formę niecentralistyczną, lecz federalną, opierającą się na zasadach, demokracji i samorządności od szczebla gminnego w górę, by umożliwić powszechny i bezpośredni udział obywateli w życiu publicznym. Bolesław Limanowski był przeświadczony o możliwości urzeczywistnienia „socjalizmu integralnego”, wyrażającego nie tylko z rozwoju form życia politycznego i gospodarczego, ale także moralności i nauki.

Teoretycy prawicowego skrzydła („starczy”) w PSS jak Witold Jodko-Narkiewicz, Bolesław Jędrzejowski czy Tytus Filipowicz zakładali w swoich prognozach, że po zwycięskiej walce z zaborcą carskim powstanie niepodległa polska republika demokratyczna. Nie precyzowali jednak jej klasowego oblicza, ani nie przesądzali, czy proletariatu zdoła w niej władzę polityczną. Sądzili bowiem, że nie jest to konieczny warunek zbudowania socjalizmu w demokratycznej republice, albowiem ulegnie ona socjalizacji stopniowo w rezultacie walki klasy robotniczej. Przewidywali, że walka proletariatu z przemysłowcami przeciwko burżuazji będzie długą i uporczywą, ale raczej typu parlamentarnego.

Koncepcję państwa wyrażoną w paryskim składowym programie rozwijał przyjęty piętnaście lat później program PPS-Frakcji Rewolucyjnej, a jego podstawę stanowił projekt pła Feliksa Perla. Dokument ten stwierdzał, że klasa robotnicza nie zdoła dokonać przeobrażeń socjalistycznych „zanim nie obejmie władzy politycznej”, to zaś nastąpi w niepodległej polskiej republice demokratycznej. Celem ruchu socjalistycznego, jak podkreślano, jest „przekształcenie państwa z narzędzia ucisku w rzeczywisty organ woli zbiorowej”.

Program ten opowiadał się za reformistyczną drogą do socjalizmu. Przedstawiony w nim ideał państwa to parlamentarna republika demokratyczna z szeroko rozwiniętym samorządem i elementami demokracji bezpośredniej, z szerokim zakresem wolności obywatelskiej i ochroną pracy, z akcentami socjalistycznymi wyrażonymi w postulacie przejęcia środków produkcji „pod zarządem zdecentralizowanych władz krajowych”. Instytucje i urządzenia demokratycznej republiki, jak zakładano, będą spełniały rolę „szkoły demokracji” dla mas ludowych, jeszcze przed powstaniem socjalistycznego państwa. Jego kształtu nie określono, wiadomo tylko, że doręczano koncepcję dyktatury proletariatu.

Poglądy działaczy lewicy („młodych”) PPS w sprawie zdobycia władzy politycznej przez

proletariat i kształtu przyszłego państwa najpełniej wyraził Kazimierz Kelles-Krauz. Złożeniem wyjściowym było dla niego twierdzenie o istnieniu w warunkach polskich organicznego związku postulatów walki o niepodległe państwo i rewolucji społecznej. Myśliciel ten przedstawił wizję „rzeczypospolitej socjalistycznej”, która miała być proklamowana, jeszcze w toku walki o niepodległość z carskim zaborcą, przez powołanie centralnego rządu rewolucyjnego i ogłoszenie podstawowych reform społecznych. Zakładał, że będzie to dopiero początek budowy nowych form ustroju socjalistycznego, a być może nawet w rządzie i parlamencie niepodległego państwa powstanie pomatko układ sił niekorzystny dla dążeń proletariatu.

Ustrój burżuazyjno-demokratyczny państwa, zdaniem Kelles-Krauz, nie gwarantował pokojowej drogi przemian socjalistycznych. Podzielał on wprawdzie pogląd Fryderyka Engelsa o teoretycznej możliwości rewolucji socjalistycznej w formie pokojowego podsumowania procesu ewolucji, ale uważał za bardziej prawdopodobną taką sytuację, w której zaistnieje konieczność podjęcia przez proletariatu walki poza parlamentem przeciw burżuazji, aby zdobyć władzę w celu zbudowania socjalizmu.

Według Kelles-Krauz zdobycie władzy politycznej, czyli uzyskanie możliwości działania prawnoparlamentarnego w celu obrony przed kontrrewolucją i dokonania przeobrażeń socjalistycznych, będzie równoznaczne z urzeczywistnieniem marksowskiego pojęcia dyktatury proletariatu. Uważał on, że będzie to tylko realizacja programu minimum, albowiem spełnienie celu maksimum przyniesie dopiero epoka budowy socjalizmu. Postulował też, aby proletariatu dążyć do nadania przyszłemu państwu ustroju politycznego i społecznego w formie „demokracji całkowitej, doprowadzonej do ostatecznych konsekwencji, jak najczystszej”, rozwiniętej „jak najdalej w kierunku ideału socjalistycznego”.

Projekt programu zgłoszony przez „młodych” na VIII zjeździe PPS (II 1906) określał przyszłą formę władzy proletariatu jako dyktaturę, która zostanie wykorzystana dla przeprowadzenia przemian socjalistycznych. Dokument ten uznawał za konieczny etap wstępny, przygotowujący warunki do walki o tenże cel ostateczny, zjednoczenie ziem polskich w niepodległą republikę demokratyczną. Koncepcję tę potwierdził w zasadzie program PPS-Lewicy (I 1908), którego podstawę stanowił projekt opracowany przez Mariana Bieleckiego, Pawła Lewinsona-Lapifskiego i Maksymiliana Horwiza-Walczyńskiego.

Pod wpływem doświadczeń I wojny światowej, a zwłaszcza rewolucji październikowej 1917 r. w Rosji, poglądy teoretyków PPS-Lewicy na sprawę kształtu przyszłej władzy proletariatu ulegały ewolucji, stając się zbliżonymi ze stanowiskiem socjaldemokratów polskich.

Interesującą uwagę na temat modelu dyktatury proletariatu przedstawiła Maria Koszutska w cyklu artykułów pt. „Rewolucja rosyjska a proletariatu międzynarodowy” („Głos Robotniczy” VIII 1918). Autorka broniła podobnie jak Róża Luksemburg, zasadniczych dokonań partii bolszewickiej, która była atakowana przez przedstawicieli centrum i prawicy socjaldemokracji i socjalizmu, choć sama również krytycznie odnosiła się do niektórych rozwiązań taktycznych zastosowanych przez bolszewików.

Maria Koszutska podkreślała, że przewrót społeczny i urzeczywistnienie ustroju socjalistycznego nie może być aktem jednorazowym („socjalizm nie rodzi się z dnia na dzień”). Budowa podstaw socjalizmu będzie bowiem odbywała się w toku trudnej walki proletariatu, a czas jej trwania zależy od poziomu dojrzałości i siły proletariatu, a także oporu kontrrewolucji. Przejęcie władzy przez proletariatu to zaledwie początek przeobrażeń, zaś aparat państwowy, od podstaw przebudowany i przystosowany do nowych zadań, stanie się najważniejszym instrumentem budowy ustroju socjalistycznego. W fazie przejściowej od kapitalizmu do socjalizmu, okresie zaciętej walki klasowej, państwo musi mieć formę dyktatury proletariatu, aby złamać opór przeciwników przemian społecznych.

Rosyjski model rad delegatów uważała Koszutska za nowy, uniwersalny wzorec formy ludowładztwa. Przypominała, że wielu socjalistów od dawna sceptycznie oceniali ewentualne korzyści jakie mógł przynieść masom ludowym ich udział w życiu parlamentarnym, wobec tak poważnych jego niedostatków jak biurokratyzacja, czy też wyobcowanie dotychczas znanych instytucji przedstawicielskich. Tymczasem system rad delegatów, jak podkreślała, rozwiązał ten problem, a forma ludowładztwa usunęła owe braki łącząc w jedną całość wszystkie komórki życia publicznego i czyniąc z organów samorządowych część składową organizmu państwowego, wprowadzając ścisłą współzależność władz ustawodawczych i wykonawczych.

Okres dyktatury proletariatu zakończy się, wedle prognozy Koszutskiej, kiedy środki i narzędzia produkcji staną się własnością całego społeczeństwa, przestaną istnieć klasy, nie tylko burżuazja, ale i proletariatu, które panowanie stanie się wówczas zbędne i pozabawione podstaw społecznych. Rozpocznie się wówczas epoka socjalizmu, w której urzeczywistni się ideał społeczeństwa „opartego wyłącznie na zasadach pracy”, zapewniającego równość praw i obowiązków, sprawiedliwość i wolność jednostek, a także funkcjonowanie innych elementów demokracji socjalistycznej.

Jednym z najważniejszych problemów socjalistycznych, tworzących w owym czasie wizję społeczeństwa przyszłości była sprawa zabezpieczenia go przed skutkami powstawania elit politycznych, biurokratyzacji aparatu władzy i jej wyobcowania. Zagadnienie to, niewątpliwie niezwykle ciekawe, wykracza jednak poza ramy niniejszego szkicu.

Jan Szczepański obliczył, że między 5 a 28 listopada w całym kraju proklamowano 105 bezterminowych strajków, 196 razy ogłaszano gotowość strajkową i zapowiedziano 115 strajków. Oprócz tego doszło do 50 incydentów różnego rodzaju. „Listopad, pisał profesor, we wspomnianym już przeze mnie artykule opublikowanym w „Die Zeit”, był okresem palących konfliktów. W poprzednich miesiącach intensywność strajków była niższa. „Profesor zwrócił uwagę, że wszystkie te akcje pochłonięły wiele kolektywnej energii „Solidarności”. W listopadzie dochodziło w całym kraju do ponad 20 różnych akcji dziennie. „Za każdą taką akcją, zauważył profesor, stał mniejszy lub większy sztab organizacyjny. Dlatego też na dalszy plan schodziły kwestie działalności długofalowej”.

Jan Szczepański, dokonając tych obliczeń według „Informacji o niepokojach w kraju”, która ukazała się w czterech numerach „Trybuny Ludu” w okresie od 30.XI. do 2.XII.1981 roku. Informację opracowało Biuro Prasowe rządu. Była to wstrząsająca dokumentacja. Chciałbym uniknąć posądzenia o wysuwanie swojej osoby na pierwszy plan, ale muszę odnotować, że to ja byłem autorem pomysłu przedstawienia opinii publicznej całej sytuacji. Uważałem, że taki suchy zestaw faktów obrazujących pogłębiający się proces wszechstronnego niszczenia państwa musi dotrzeć do patriotycznych uczuć większości moich rodaków. Trudno mi odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście informacja ta spełniła nasze oczekiwania, ale na pewno pozostanie trwałym dokumentem w najnowszej historii Polski. „Trybuna Ludu” wydrukowała całą informację, inne gazety tylko część, a były i takie, które pominięły ją pełnym milczeniem. Co więcej, jedna ze stołecznych gazet udzieliła nam napomnienia. Owszem, pisał autor notatki pt. „Dobrostrajki”, „ten zbiór robi wrażenie — trzeba to bezstronnie przyznać, ale nasz rejestr, dowodził, wypacza rzeczywistość. Biuro Prasowe rządu powinno było dokonać analizy zebranych faktów. Same fakty autorowi notatki nie wystarczyły. To chyba też coś mówiło o klimacie, jaki istniał wówczas w części środków masowego przekazu.

Ponieważ każdy badacz owego okresu może bez trudności dotrzeć do informacji, opublikowanej przez „Trybunę Ludu”, nie sądzę, aby było celowe przypominanie jej w całości. Z drugiej jednak strony trzeba wziąć pod uwagę, że nie każdy, kto interesuje się owym okresem, zechce się posługiwać do Biblioteki Sejmowej lub innej, gdzie spoczywają zsywki gazet, a więc warto, jak sądzę, przypomnieć choćby tylko kilkanaście przykładów ilustrujących rosnący stan napięcia.

5 LISTOPADA

Trwa nadal strajk solidarnościowy w całym województwie zielonogórskim w celu poparcia strajkujących członków „Solidarności” w Lubogórze.

— Kontynuowany jest strajk okupacyjny w kopalni węgla kamiennego „Sosnowiec”.

— Kilka osób z Zarządu Gminnego NSZZ „Solidarność” RI w Komarowie wtargnęło do pomieszczeń Urzędu Gminy walcąc: „przez z komuna”, „wychodźcie szczerzy i dołączcie do nas”.

— Gotowość strajkową ogłosiły przedsiębiorstwa budowlane woj. szczecińskiego, 5 zakładów w woj. koszalińskim, 28 zakładów w woj. gorzowskim, 12 przedsiębiorstw w woj. katowickim.

— Grupa 20 osób, członków NSZZ RI „Solidarność” w Siedlcach rozpoczęła okupację pomieszczeń ZSMP i ZHP ulicy Świerczewskiego 43.

— W zakładzie karnym dla recydywistów w Kamieńsku doszło do buntu ponad tysiąca więźniów Skazani wznieśli pożary w pawilonach mieszkalnych i zabudowaniach gospodarczych. Dwie osoby poniosły śmierć.

— Mimo że strajki w szesnastu zakładach żyrdawskich zostały przerwane 4.XI, trwa pogotowie strajkowe. Załogi, które strajkowały, domagały się zapłaty za ten okres równy pełnemu wynagrodzeniu. Rząd zgodził się wypłacić tylko połowę tej sumy.

6 LISTOPADA

— Załoga Zakładu Przemysłu Rolnego w Czerninie ogłosiła strajk okupacyjny.

— W woj. koszalińskim dalsze trzy zakłady ogłosiły gotowość strajkową, w woj. częstochowskim 3 zakłady przemysłu inżynierskiego, gotowość strajkową ogłosiło w zakładach chemicznych „Police” woj. szczecińskie i w elektrowni „Turów” (woj. zielonogórski) na znak solidarności ze strajkującymi zakładami w kraju.

— Zarząd Regionu „Pobrzeże” NSZZ „Solidarność” podjął uchwałę, w której podkreślał zasługi Jurczyka — stwierdził, że trafnie nazywał on rządzących zbrodniarzami i winowajcami narodu nieszczęścia.

7 LISTOPADA

— W Siedlcach i Łochowie trwają strajki okupacyjne.

— Trwa gotowość strajkowa w zakładach pracy 8 województw.

8 LISTOPADA

— We Wrocławiu podjęta została kilkugodzinna akcja protestacyjna Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki na tle wprowadzenia nowej tabeli wynagrodzenia pracowników.

9 LISTOPADA

— Gotowość strajkową ogłosiły Zakłady Rowerowe „Romet” (Bydgoszcz) z powodu oddelegowania pracowników do pracy w szkołach zawodowych.

— W zakładach „Lubomór” w Trzciance, Komisja Zakładowa „Solidarność” wywiesiła kopie telexu do Sejmu PRL z pytaniem: „Na jakiej podstawie prawnej, społecznej i moralnej gen. W. Jaruzelski łączy trzy stanowiska?”.

10 LISTOPADA

— Trwający w woj. wrocławskim strajk sprzedawców i kolporterów „Ruchu” rozszerzył się na woj. gorzowskie i częściowo lubelskie.

— Zarząd Gminny NSZZ RI „Solidarność” w Miastku (woj. śląskie) uchwalił przeprowadzenie akcji protestacyjnej nawołującej do nieplacenia czwartej raty podatku gruntowego za rok 1981.

— Komisja Zakładowa „Solidarność” kierow-

ców transportu prywatnego w Lesznie w porozumieniu z Zarządem Regionalnym postanowiła podjąć akcję polegającą na blokadzie przez taksówkarzy ulic dojazdowych do Urzędu Wojewódzkiego na znak protestu przeciwko brakom paliwa.

11 LISTOPADA

— Trwają strajki o charakterze ciągłym w woj. zielonogórskim, w WSI w Radomiu i w KWK „Sosnowiec”.

— 63 zakładów w woj. szczecińskim, 12 woj. katowickim oraz zakłady pracy Żyrardowa utrzymują gotowość strajkową.

— Zarząd Regionu Pomorza Zachodniego w teleksie do Prezesa Rady Ministrów zagroził podjęciem akcji solidarnościowej w związku ze strajkiem w woj. zielonogórskim i konfliktem w Lubogórze, o ile „skompromitowane osoby” nie zostaną natychmiast odwołane ze stanowisk.

— Walne zebranie członków Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Niestablinie-Zbrudzewie (woj. poznańskie) podjęło uchwałę o wstrzymaniu

czącego trzech pracowników, członków „Solidarności”.

— Zbiegli więźniowie usadowieni na galerii kolumny w Zależu nadal prowadzą „pertraktacje” z przedstawicielami władz.

17 LISTOPADA

— W 17 województwach kioskarze bojkotują sprzedaż prasy.

— Grupa złożona z 30 członków NSZZ RI „Solidarność” przystąpiła do okupacji budynku Wojewódzkiego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych w Wałbrzychu (z siedzibą w Swidnicy), na znak poparcia dla strajkujących rolników okupujących pomieszczenia w Siedlcach i Toruniu.

— Jedenastu więźniów zeszło z kolumny. Przebywali tam 78 godzin. W trakcie pobytu na kolumnie dostarczono im koce oraz gorącą herbatę. W międzyczasie w świetlicy prowadzone były rozmowy z delegacją więźniów. Przebieg rozmów transmitowano przez radiowęzeł do cel i na komin. Temat filmowy.

Czasy nadziei i rozczerowań

(15)

Ludzie mieli już dość strajków

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

maniu dostaw żywności, bydła i kaczek, na znak protestu przeciwko sprzedaży niektórych towarów przemysłowych tylko dla rolników indywidualnych.

12 LISTOPADA

— W Jawidzu (woj. lubelskie) około 50 osób usadowiło się w świetlicy MPO i przystąpiło do strajku okupacyjnego żądając budowy wodociągu i szkoły.

— W woj. konińskim wszystkie zakłady pracy zapowiedziały przystąpienie do strajku w związku z niespełnieniem przez władze żądania „Solidarności”, by budynek KW MO został przekazany na cele społeczne.

13 LISTOPADA

— Strajk okupacyjny objął wszystkie obiekty Uniwersytetu Warszawskiego.

— „Solidarność” opolska skierowała do prezesa ZUS list, w którym już po raz drugi żądała zaliczenia do ciągłości pracy byłym żołnierzom Wehrmachtu pobytu po 9.V.1945 r. w niewoli alianckiej.

— Oddział „Solidarność” w Nysie zażądał opuszczenia gmachu przez Komitet Miejsko-Gminny PZPR.

— W Ustrzykach Dolnych do sklepu prowadzącego tzw. sprzedaż wiązana dla rolników indywidualnych weszła grupa działaczy NSZZ RI „Solidarność” i zażądała sprzedaży towarów bez zaświadczeń o odstąpieniu do punktów skupu żywności. Następnie zabrali ze sklepu trzy rowery pozostawiając na ladzie sumę stanowiącą ich równowartość.

— A. Słowik, przewodniczący Zarządu Regionu Ziemia Łódzka, na spotkaniu w zakładach „Syntex” w Łowiczu z członkami „Solidarności” powiedział m.in., że „na terenie zakładu pracy nie ma miejsca dla działalności organizacji partyjnej...”.

14 LISTOPADA

— Do strajku okupacyjnego zaczęły przystępować poszczególne wydziały Huty im. M. Nowotki w Ostrowcu Świętokrzyskim. Powodem strajku jest brak wspólnego stanowiska dyrekcji oraz KZ NSZZ „Solidarność” w sprawie warunków, na jakich 40 słuchaczy technikum dla pracujących robotników ma ukończyć tę szkołę.

— KZ „Solidarność” w KWK „Szczylowice” wystąpiła do dyrektora z wnioskiem o spowodowanie opuszczenia do 20.XI. pomieszczeń zajmowanych dotychczas przez Komitet Zakładowy PZPR i Radę Zakładową ZZ Górników.

— KZ NSZZ „Solidarność” pracowników łączności przy Wojewódzkim Urzędzie Pocztowym w Zamościu podjęła uchwałę w sprawie przekazania budynku KM MO dla potrzeb poczty. W razie niewykonania uchwały przez władze zagrożono przeprowadzeniem strajku ostrzegawczego w dniu 23.XI.

15 LISTOPADA

— Kolporterzy w 10 województwach bojkotują sprzedaż prasy w związku ze zmianą tabel prowizyjnych.

— Gotowość strajkowa trwa w 76 zakładach pracy.

— Z terenu zakładu karnego w Zależu koło Rzeszowa uciekło 11 więźniów-recydywistów, którzy wdrapali się na 43-metrowy komin kotłowni i tam założyli swą kwaterę. Na miejsce konfliktu przybyli przedstawiciele Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, którzy wspólnie z przedstawicielami miejscowych władz wymiary sprawiedliwości rozpoczęli pertraktacje z więźniami. Ci zaś domagali się m.in. rewizji wszystkich wyroków wydanych w latach 1970-81. Założono telefon, przez który „strony” prowadziły „pertraktacje”.

16 LISTOPADA

— Trwa strajk okupacyjny w budynku Państwowego Przedsiębiorstwa „Cukrownie Toruńskie”.

— W Rynie (woj. suwalskie) rozpoczął się strajk okupacyjny pracowników Spółdzielni Inwalidów „Pokój” i „Zorza” oraz Spółdzielni „Las”. Strajkujący domagają się odwołania naczelnika gminy i miasta.

— Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Sieradzu zapowiedziało strajk ostrzegawczy na dzień 19.XI, a okupacyjny na 23.XI. Tę samą rozgrywkę personalną.

— Gotowość strajkową ogłosiły dwa zakłady pracy w Radomsku ZP. im. Komuny Paryskiej i ZPM Gwardii Ludowej, przeciwko skierowaniu wniosku do kolegium ds. wykroczeń doty-

18 LISTOPADA

— Rozszerza się bojkot sprzedaży prasy przez kioskarzy „Ruchu”.

— Trwa strajk okupacyjny w Siedlcach i w Łochowie.

— Ośrodek Badawczo-Rozwojowy „Bumar” w Łabędach ogłosił gotowość strajkową w związku z niedostatecznym zaopatrzeniem w ziemniaki.

— W Zamojskich Fabrykach Mebli ogłoszono gotowość strajkową z powodu wstrzymania sprzedaży mebli dla pracowników.

— Obradująca we Wrocławiu Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” kolejarzy przelała do wszystkich ogniw „Solidarności” w jednostkach PKP telex, w którym zaleca uścisnienie Komitetów Zakładowych PZPR z budynków Dyrekcji Rejonowych PKP.

— Komisja Zakładowa „Solidarność” w „Ponarze” (Żywiec) opublikowała przez radiowęzeł oświadczenie, w którym ultimatywnie stwierdziła, że jakiegokolwiek udziału partii w działalności przedsiębiorstwa jest niedopuszczalny. Autorzy oświadczenia zażądali opuszczenia przez Komitet Zakładowy dotychczas zajmowanych pomieszczeń.

— Trwa w całym kraju masowa akcja propagandowa pod hasłem „dostępu do środków masowego przekazu”. Najwięcej prowokacyjnych plakatów, ulotek i hasel rozwieszono i wymalowano na ścianach budynków w Warszawie. W tym okresie „Solidarność” wydawała dwa tysiące plam i pisemek.

19 LISTOPADA

— W woj. radomskim zapowiedziano strajk generalny w całym Regionie w przypadku, gdyby rozmowy z komisją rządową nie przyniosły oczekiwanych przez tęże „Solidarność” rezultatów.

— W Płocku, Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” zorganizował akcję propagandową związaną z „dostępem do środków masowego przekazu”. Około 20 młodych mężczyzn w drelichowych ubraniach i w kaskach ochronnych, pod przewodnictwem sekretarza Zarządu Regionu, wymalowało w centrum miasta hasła, wśród nich m.in.: „DTV działa na wzór propagandy Goebbelsa”.

— Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” w Państwowym Gospodarstwie Ogrodniczym w Suchym Dworze (woj. gdańskie) ogłosiła pogotowie strajkowe na tle zwolnienia z pracy za kradzież działacza „Solidarności”. KZ zażądała zwolnienia dyrektora (jakżeby inaczej!) i zagroziła w razie niespełnienia tego postulatu zorganizowaniem strajku ostrzegawczego, a następnie okupacyjnego.

20 LISTOPADA

— W Krakowie, Bujak na spotkaniu z kilkudziesięciuosobową grupą studentów powiedział m.in., że skoro dziennik TV jest „ostoją władzy”, to „Solidarność” jest gotowa uderzyć, na przykład przez wyłączenie dopływu prądu na czas emisji DTV.

21 LISTOPADA

— Strajk okupacyjny pracowników Spółdzielczego Domu Kultury „Pegaz” (Elbląg), na znak protestu przeciwko decyzji władzy o przekazaniu budynku SDK do dyspozycji władz kościelnych. Budynek był własnością Kościoła.

— Trwa strajk okupacyjny budynku organizacji młodzieżowych w Siedlcach.

— Gotowość strajkową ogłoszono w Zagłębiu Siarkowym na znak protestu przeciw nieuregulowaniu zapłaty za okres strajków.

22 LISTOPADA

— W ponad 30 wyższych uczelniach kraju trwa akcja strajkowa związana z konfliktem w WSI Radom i projektem ustawy o szkolnictwie wyższym.

— W Toruniu, strajk okupacyjny w budynku WZKIOR.

— Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” PKO zaplanowała przeprowadzenie w najbliższym czasie na terenie całego kraju strajku w placówkach PKO na tle żądań placowych.

23 LISTOPADA

— NSZZ RI „Solidarność” w Łańcucie rozpoczął strajk okupacyjny w budynku Urzędu Gminnego.

— Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ ogłosiła przeprowadzenie w dniu 24 listopada ogólnopolskiego strajku okupacyjnego. Akcja strajkowa objęła już około 76 uczelni.

— Trwa tzw. „strajk czynny” w pięciu liceach Lublina.

— W dniu 22 listopada odbył się zjazd gminny NSZZ RI „Solidarność” gminy Lipno (woj. leszczyński), podczas którego kierownik Biura Interwencji WKZ NSZZ RI „Solidarność” J. Jankowski, stwierdził m.in., że „dziś mamy jednego zabójcę, mocnego, ale się nie boimy, jest nas 36 milionów i nawet gdy 2 miliony zginie, to reszta będzie miała jednak spokój”.

24 LISTOPADA

— Grupy rolników zrzeszonych w NSZZ RI „Solidarność” przystąpiły do okupacji budynków gminnych w Leżajsku, Kolbuszowej, Czerwiniu, Tyczynie i budynku POM Brzyna w Ropczycach (woj. rzeszowskie) na znak poparcia dla ogólnopolskiej akcji protestacyjnej rolników.

— W Brzezinach Śląskich, w budynku GH „Orzeł Biały”, 15 rencistów przystąpiło do strajku okupacyjnego na znak protestu przeciwko nieotrzymaniu deputatu węglowego.

— W Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Sieradzu, oddział w Wieluniu, 14 osób przystąpiło do strajku okupacyjnego m.in. na tle żądań placowych oraz pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych zbrokotowania zebrania wyborczego do rady pracowniczej.

— W Elku, około 20 osób (młode małżeństwa) przystąpiło do okupacji sklepu meblowego w związku z brakiem możliwości realizacji kredytów na zakup mebli.

26 LISTOPADA

— Kontynuowane są strajki w woj. siedleckim, wałbrzyskim, toruńskim, wrocławskim, rzeszowskim, krosińskim, suwalskim, elbląskim, przemyskim i katowickim.

— Gotowość strajkową ogłoszono w 18 województwach, w jedenastu zapowiedziano strajki.

— W Lublinie do strajku czynnego w oświadczeniu przystąpiły cztery dalsze szkoły ponadpodstawowe.

— Coraz to nowe ognia „Solidarności” podejmują akcję przeciwko organizacjom partyjnym działającym w zakładach pracy.

27 LISTOPADA

— Strajki ciągłe trwają w województwach: siedleckim, wałbrzyskim, toruńskim, wrocławskim, rzeszowskim, krosińskim, elbląskim, przemyskim, katowickim i zamojskim.

— Gotowość strajkową wystąpiła w 22 województwach.

— W trzynastu województwach zapowiedziano strajki.

— Prezydium Regionu Mazowsze poleciło Zarządowi Fabrycznemu NSZZ „Solidarność” w Zakładach Mechanicznych „Ursus” skierowanie 45-osobowej grupy pracowników do Wyższej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie w celu wsparcia strajkujących podchorążych.

— „Solidarność”, oświadczył przewodniczący Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, L. Waliszewski, na spotkaniu z załogą KWK „Sosnowiec”, domaga się „budowy stacji TV dla własnych celów, bo Telewizja Polska kłamie”.

— W cukrowni „Racibórz” odbyło się zebranie członków „Solidarności”, na którym podjęto uchwałę o usunięciu z terenu cukrowni POP PZPR.

— W uchwale przyjętej przez „Solidarność” Stocznia Gdańska zażądano powołania do dnia 15.XII.1981 r. Trybunału Narodowego w celu osądzenia byłych promientów, jak również odpowiedzialnych za podejmowane decyzje społeczno-gospodarcze po sierpniu 1980 roku. Uchwała domagała się także przeprowadzenia referendum o wotum nieufności dla rządu i Sejmu.

28 LISTOPADA

— W Poznaniu rozpoczęła działalność wszechnicia „Solidarności”. Podczas wykładu inauguracyjnego, Bujak oświadczył m.in., że „PZPR stoi na przegranej pozycji”, a masowa akcja plakatowa „Solidarność” prowadzona pod hasłem dostępu do radia i telewizji określił jako walkę o zdobycie „ostatniej reduty partyjnej propagandy”.

Ot, taka to była nasza ówczesna rzeczywistość. Groźna i ponura. Apologeci „Solidarności” na ogół pomijali milczeniem ten przyspieszony proces demontowania fundamentów państwa polskiego, a jeśli już nawiązywał do niego, to uciekał w żywiołowość, w rozbieżność, w różnorodność akcje protestacyjne objaśniał żywiołowością ruchu. Owszem, mówią, były to zjawiska, które i nas napawały lękiem, ale Komisja Krajowa nie była w stanie określić żywiołu. Jest to tłumaczenie obliczone na naiwnych. Działalność strajkowa i inną organizowali ludzie siedzący w Zarządach Regionów, a więc w sztabach. Zaś ich szefowie byli z reguły członkami Komisji Krajowej. Gdyby istotnie w kierowniczych gremiach „Solidarności” istniała wola niekorzystania ze strajków i innych form protestu jako środka nacisku na polityczne i państwowe kierownictwo kraju, to nie ulega wątpliwości, że nie doszłoby do nich. Apologeci „Solidarności” zdają się mieć krótką pamięć. Wiedzieli to samo, co my, a może nawet więcej, o nastrojach, jakie panowały wśród członków Związku późną jesienią 1981 roku. Ludzie mieli już dość strajków, z coraz większym niepokojem myśleli o nadchodzących tygodniach i miesiącach. Strajki i protesty były dziełem awanturniczej mniejszości. Była ona jednak na tyle wpływową, że mogła wznęcać groźne ogniska niepokoju w całym kraju i dlatego nie wolno było jej lekceważyć. Również dlatego, że mimo rosnącego zmęczenia mas członkowskich, awanturnikom udawało się narzucać swą wolę niemal całym załogom, ponieważ działali poczucie solidarności, lojalności wobec przywódców oraz cały zespół środków nacisku na wątpliwych bądź też wahających się.

Awanturniczą mniejszość, czyli ekstremę, mogli, gdyby chcieli, poskromić przywódcy „Solidarności”. Rzecz jednak w tym, że takiego zamiaru nie mieli. Gdy zarzucaliśmy im niechęć do przeciwdziałania w stosunku do tych, którzy wiedli Związek ku samozagładzie, bezradnie rozkładali ręce i mówili: nie jesteśmy w stanie opanować żywiołu. Rzeczywista przyczyna tej rękomyj bezradności leżała jednak gdzie indziej. Przywódcy „Solidarności” nie występowali przeciwko ekstremistom, ponieważ sami zaprogramowali się na walkę z władzą, a częściej z nią pod wpływem ludzi z KOR o władzę. Taka jest historyczna prawda.

C.D.N.

1. POLSKIE ORGANIZACJE POWSTANCZE PRZED I WOCINĄ ŚWIATOWĄ

Sprzecznosci i konflikty austriacko-rosyjskie w latach 1908-1914, wynikające głównie z odmiennego stanowiska wobec polityki Serbii i groźby przeroszenia się w otwartą wojnę, wzmacniały nadzieje wielu Polaków na zmianę warunków życia narodowego. Polskie organizacje polityczne liczące na zwycięstwo Austro-Węgier nad Rosją starały się przewidzieć jego ewentualne skutki dla sprawy polskiej lub określonej grupy społeczeństwa. Uwzględniały przy tym politykę państw zaborczych wobec ziem polskich, a przede wszystkim aktualnie istniejące warunki polityczne i narodowe w poszczególnych zaborach. Doprowadziło to do ukształtowania się dwóch zasadniczych orientacji politycznych: na Austrię — proaustriackiej (antyrosyjskiej) oraz na Rosję — prorosyjskiej (antyaustriackiej).

Najwięcej stronnictw i ugrupowań polskich reprezentowało orientację proaustriacką. Wynikało to ze sprzyjających warunków politycznych w zaborze austriackim, posiadającym autonomię narodową. Liczyły one, że zwycięskie Austro-Węgry połączą Galicję z Królestwem Polskim i uczynią z tych terenów trzeci człon monarchii habsburskiej. Ze względu na potęgę Niemiec prowadzących politykę germanizacyjną nie przewidywały w obrębie przyszłego państwa polskiego ziem zaboru pruskiego.

Duże nadzieje z antyrosyjskim charakterem orientacji proaustriackiej wiązały kierownictwa PPS — Frakcji Rewolucyjnej i organizacji narodowo-niepodległościowych wchodzących w skład Konfederacji Polskiej (Narodowego Związku Chłopskiego, Narodowego Związku Robotniczego, Związku Niepodległości, niezależnych ludowców i Legii Niepodległości). Liczyły się one jednak z różnymi wariantami rozwoju sytuacji międzynarodowej. Dlatego w kontaktach z władzami austriackimi starały się zachować samodzielność polityczną.

Działacze organizacji niepodległościowych związanych z ruchem socjalistycznym i narodowo-demokratycznym stali na stanowisku, że tylko czynna postawa może zadecydować o podniesieniu zapomnianej sprawy polskiej i doprowadzić do utworzenia polskiej siły zbrojnej, zdolnej do podjęcia w dogodnym momencie walki o niepodległość. Z tego środowiska wyszła inicjatywa tworzenia polskich organizacji wojskowych, mających na celu przygotowanie kadr przyszłego wojska polskiego.

Chronologicznie wcześniej zrodził się ruch wojskowy związany z działaczami PPS-FR przebywającymi w Galicji. Już w czerwcu 1908 r. odbyło się w Lwowie z inicjatywy Kazimierza Sosnkowskiego, ale bez wiedzy Józefa Piłsudskiego i zgody Wydziału Bojowego, zebranie założycielskie Związku Walki Czynnej (ZWC). Celem organizacji było wywalczenie polskiej niepodległej republiki demokratycznej, a podstawowym zadaniem przygotowanie odpowiednich środków organizacyjnych i technicznych do przyszłego powstania zbrojnego w zaborze rosyjskim.

Jego kierownictwo dążyło do skupienia w szeregach ZWC przedstawicieli różnych klas i warstw społeczeństwa polskiego. Dlatego nie eksploatowano hasła socjalistycznego, systematycznie rugując ich resztki z deklaracji ideowej. Jednocześnie stopniowo rozluźniano więzi łączące ZWC z PPS-FR. Związek początkowo określający się jako siła pomocnicza OB PPS od 1909 r. uznawał ją za kierownicze działające zbrojnie tylko na terenie zaboru rosyjskiego. W dwa lata później formułę tę zastąpiono zapisem, iż w chwili wybuchu powstania ZWC odda swoje siły w rozporządzenie rządu rewolucyjnego uznanego przez PPS-FR. Nadal jednak utrzymywano ścisłe więzi personalne.

Początkowo ZWC istniał jedynie we Lwowie. Dopiero na przełomie 1908/1909 r. Kazimierz Sosnkowski zorganizował

jego ognia w Krakowie. Do kwietnia 1910 r. utworzono je także w Borysławiu, Brzeżanach i Stanisławowie. W 1909 roku zaczęto organizować oddziały ZWC w środowiskach polskiej młodzieży akademickiej na terenie Europy zachodniej. Pierwszy oddział założył Janusz Głuchowski w Leodii (Liege). Do połowy 1910 r. utworzono jeszcze kilka oddziałów ZWC w Belgii oraz jeden w Paryżu.

W zaborze rosyjskim działały wówczas jedynie tajne grupy wojskowe podlegające Wydziałowi Bojowemu PPS-FR. Liczyły one około 30 osób. Dopiero w połowie 1912 r. zaczęto organizować na terenie Królestwa Polskiego pierwsze ognia ZWC.

Konspiracyjna działalność ZWC na terenie zaboru austriackiego była od listopada 1908 r. tolerowana, a nawet chroniona przez władze austriackie organów wojsko-

szeregów przyjmowano osoby, wobec których tajny związek nie miał zastrzeżeń. Podobnie było również w innych krajach zachodnioeuropejskich. W czerwcu 1912 r. istniały jawne organizacje strzeleckie we Lwowie, Krakowie, Brzeżanach, Przemyśle, Wiedniu, Paryżu, Fryburgu, Antwerpii, Liege i Brukseli. Występowały one formalnie jako odrębne organizacje. Nazywano je Związkami Strzeleckimi. Masowy rozwój organizacji strzeleckich nastąpił w okresie I wojny bałkańskiej. Ich szeregi wzrosły wówczas z około 600 do ponad 6.000 członków. W czerwcu 1914 r. do Związków Strzeleckich należało około 8 tys. osób. Większość z nich było członkami lub sympilantami partii socjalistycznych i ludowych.

Równolegle do ZWC i jego jawnych emanacji również w tzw. obozie narodowo-niepodległościowym, ukształtowanym po rozłamach w Lidze Narodo-

artylerii, saperów, łączności i sanitarnych. Oddziały żeńskie przygotowywano do wykonywania zadań pomocniczych służby wojskowej.

Mimo rozbieżności poglądów politycznych, struktur i metod działania władze Związków Strzeleckich i PDS dostrzegały potrzebę wzajemnych kontaktów i ograniczonej współpracy. Tendencjom tym sprzyjały w drugiej połowie 1912 r. procesy integracyjne w polskim ruchu niepodległościowym oraz napięcie w stosunkach austriacko-rosyjskich. W październiku 1912 r. doszło do rozmów między władzami obu organizacji, podczas których uzgodniono współdziałanie na wypadek wojny między zaborcami. Ustalono również, że komendantem głównym sił wojskowych podporządkowanych Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych będzie mianowany Józef Piłsudski. Zgodnie z jego planem

oddział wywiadowczy złożony z dawnych bojowców PPS-FR oraz kadrowy oddział kawalerii. Liczyły one około 2.600 osób. Większość z nich uzbrojona w przestarzałe karabiny typu Werndla. Tylko 1 Kompania Kadrowa posiadała nowoczesną broń systemu Mannlichera.

2 sierpnia wieczorem na teren zaboru rosyjskiego Piłsudski wysłał 7-osobowy patrol pod dowództwem Beliny z zadaniem rozpoznania sił carskich na kierunku kieleckim. Stwierdził on wycofanie się pododdziałów straży granicznej i policji. Również dowództwo austriackie oceniło, iż w Kieleckim powstała luka operacyjna, stwarzająca dogodną polę do rozpoczęcia działań własnej kawalerii i polskich ochotniczych formacji strzeleckich. Już w nocy z 5 na 6 sierpnia 1914 r. zezwoliło ono na wkroczenie bojowych oddziałów strzeleckich do zaboru rosyjskiego.

deusza Furgalskiego i wydzielonymi oddziałami 7 Dywizji Kawalerii w bitwie nad Nidą (pod Brzegami).

Po reorganizacji w rejonie miejscowości Bolimów-Rykoszyn bojowe oddziały strzeleckie wzięły udział w marszu — manewrze na Tumlin, którego celem było wyjście na tyły Rosjan broniących Kielce. 23 sierpnia zostały one przesunięte do tego miasta, gdzie zakończyły swój szlak bojowy.

Silny opór wojsk carskich ostatecznie przekreślił planowany wysięg bojowych oddziałów strzeleckich z armią pruską do Warszawy. Znacznie wcześniej rozwały się nadzieje na wybuch powstania narodowego w zaborze rosyjskim. W ciągu kilkunastu dni przemarszu do Kielce nie spotkały się one z entuzjazmem miejscowej ludności, na którym opierała się koncepcja agitacji czynnej. Już 9 sierpnia Józef Piłsudski meldował swoim austriackim przełożonym, że wszędzie stwierdził całkowitą dezorganizację i bierność. Według niego wielu Polaków liczyło się z powrotem Rosjan i obawiało się Prusaków, których okrucieństwa szeroko rozgłaszano. Tym też tłumaczył strach przed oddziałami austriackimi i strzeleckimi. Opinię tę podzielał Kazimierz Sosnkowski, który bierną a często nawet wroga postawę ludności miejskiej uzasadniał dużymi wpływami endecji i nienawiścią do Niemców. Sytuację tę pogłębiały rekwizycje strzelców opłacane kwitami firmowanymi przez Polski Skarb Wojskowy. Świadczą o tym liczne skargi kierowane do austriackich władz wojskowych.

Sztab austriacki liczył, że powstanie w zaborze rosyjskim ulatwi działania podległych mu wojsk. Dlatego początkowo zapewnił bojowym oddziałom strzeleckim dużą samodzielność. Jednak z chwilą gdy Piłsudski zaczął oficjalnie prowadzić politykę faktów dokonanych tworząc Komisarjat Cywilny Rządu Narodowego uznano polityczną cenę jego akcji za zbyt wysoką. 13 sierpnia 1914 r. oświadczone mu, że na obszarach zajętych przez wojska austriackie, samodzielne występowanie oddziałów strzeleckich jest niedopuszczalne, i że ustanowione przez ich dowódców władze administracyjne nie ogłaszały. Jednocześnie postanowiono Piłsudskiemu ultimatum w sprawie rozwiązania podporządkowanych mu oddziałów i włączenia ich do austriackiego pospolitego ruszenia.

Od politycznego bankructwa i rozwiązania oddziałów strzeleckich ocalili Piłsudskiego galicyjscy ugodowcy, którzy — dzięki wpływom w Wiedniu — uzyskali zgodę rządu na powołanie 16 sierpnia 1914 r. Naczelnego Komitetu Narodowego, skupiającego przedstawicieli wszystkich galicyjskich stronnictw politycznych. 19 sierpnia szef sztabu generalnego armii austriacko-węgierskiej zaakceptował i skonkretyzował propozycję NKN w sprawie utworzenia regularnych oddziałów wojskowych złożonych z Polaków będących obywatelami monarchii habsburskiej. W 8 dni później ukazał się rozkaz naczelnego wodza Austro-Węgier o utworzeniu dwóch Legionów Polskich. W skład każdego z nich miały wchodzić po dwa pułki piechoty oraz 2-3 szwadrony kawalerii.

Oddziały strzeleckie w Królestwie Polskim przeformowane zostały w 1 pułk Legionów. Ich bryt ocalono, straciły one jednak znaczną do tej pory samodzielność. Jednocześnie Piłsudski musiał zadowolić się skromnym stanowiskiem jednego z kilku dowódców legiónowych pułków. Odtąd coraz większą rolę w jego planach politycznych zaczęła odgrywać konspiracyjna organizacja wojskowa w Królestwie Polskim, utworzona z miejscowych ogniw ZWC i Armii Polskiej. W październiku 1914 r. przyjęła ona nazwę Polskiej Organizacji Wojskowej.

TADEUSZ BOGALECKI

„Na stos rzucili swój los...”

wych. W zamian domagały się one informacji wywiadowczych, a na wypadek wojny rozpoczęcia akcji dywersyjnych przeciwko wojsku rosyjskiemu. Natomiast władze administracyjne dowodziły się o działalności ZWC dopiero w czerwcu 1909 r. po aresztowaniu przez policję krakowską Walerego Sławka.

W tej sytuacji kierownictwo ZWC podjęło decyzję w sprawie utworzenia legalnej organizacji paramilitarnej w Galicji. Warunki prawne ku temu istniały już od 6 maja 1909 r. Stwarzał je reskrypt Ministerstwa Obrony Krajowej zawierający „Postanowienia o popieraniu strzelectwa dobrowolnego na terenie Austrii”. Przyznawał on sportowym stowarzyszeniom strzeleckim prawo korzystania ze strzelnic wojskowych i pomocy instruktorów. Umożliwiał także wypożyczanie broni oraz zakupywanie amunicji i prochu po niższych cenach.

Pierwszą polską organizację strzelecką założono wiosną 1910 roku we Lwowie jako stowarzyszenie „Związek Strzelecki”. Przewodniczącym stowarzyszenia został Władysław Sikorski. Następną organizację utworzono pod koniec 1910 r. w Krakowie. Stowarzyszenie przyjęło nazwę „Strzelec”. Oficjalnym jego założycielem był Edward Kernik. W 1912 r. przewodniczącym „Strzelca” został Włodzimierz Tetmajer, jego zastępcą Edward Rydz, a sekretarzem Aleksander Prystor.

W 1910 r. władze ZWC poleciły działaczom związku w Belgii rozpocząć tworzenie jawnej organizacji strzeleckiej. Do jej

wej, rozwijał się ożywiony ruch wojskowy. Jego działacze założyli w końcu 1908 r. Polski Związek Wojskowy (PZW). W lipcu 1910 r. na zjeździe zarządczym grup zetowych postanowiono przekształcić PZW w tajną Armię Polską (AP). Jej ognia tworzone w Galicji, Europie zachodniej i zaborze rosyjskim. W połowie 1911 r. skupiały one 425 osób. W następnych latach zaczęto organizować oddziały AP także w zaborze pruskim. W czerwcu 1911 roku władze tej organizacji podjęły decyzję o utworzeniu jawnego stowarzyszenia pod nazwą Polskie Drużyny Strzeleckie (PDS). W latach 1912-1914 jego szeregi zwiększyły się z 680 do 6.030 osób.

PDS była jawną emanacją AP. Ich współdziałanie opierało się na podobnych strukturach i zasadach jakie obowiązywały między ZWC i Związkami Strzeleckimi. Komendantami naczelnymi PDS byli kolejno: Henryk Bagiński, Mieczysław Norwid-Neugebauer i Marian Januszajtis, którzy jednocześnie dowodzili AP.

Zarówno w Związkach Strzeleckich jak i PDS prowadzono intensywne szkolenie wojskowe. Jego celem było przygotowanie kadr oficerskich i podoficerskich dla przyszłej ogólnonarodowej armii powstańczej. Podstawowymi formami szkolenia były kursy zwane również szkołami. Większość z nich przygotowywała członków organizacji strzeleckich do służby w oddziałach piechoty. Niektóre jednak korzystając z dogodnych warunków lokalnych szkoliły kadrę dla przyszłych powstańczych jednostek kawalerii,

polskie oddziały strzeleckie miały wkroczyć do Królestwa Polskiego, wywołać swoimi działaniami nastroje i ruchy powstańcze w całym zaborze rosyjskim, a następnie przekształcić się w kadry dowódcze jednostek wojskowych tworzących z miejscowych ochotników. Warunki do urzeczywistnienia tych zamierzeń powstały dopiero na początku sierpnia 1914 r. gdy Niemcy, a następnie Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji.

2. SIERPNIOWY CZYN AGITACJI CZYNEM

1 sierpnia 1914 r. Niemcy, a 6 sierpnia Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. Po raz pierwszy zaborcy popadli w ostry konflikt zbrojny. Tym samym spełniły się marzenia wielu Polaków o wielkiej wojnie, która przywołał Mielkiewicz, a która miała obalić system, w tej części Europy zbudowany przez Kongres Wiedeński. Już 2 sierpnia 1914 r. kierownictwo Związków Strzeleckich i PDS ogłosiło tajną mobilizację. 6 sierpnia nadano jej powszechny charakter. Ogółem oblicza się, że do miejsca koncentracji w Krakowie przybyło w pierwszych trzech tygodniach wojny około 5 tys. członków Związków Strzeleckich, PDS i nie zrzeszonych ochotników. Tworzono z nich kompanie i bataliony podporządkowane Józefowi Piłsudskiemu. Do 21 sierpnia 1914 r. zorganizowano 21 kompanii piechoty,

Bojowe oddziały strzeleckie zostały podporządkowane dowództwu 7 Dywizji Kawalerii wchodzącej w skład grupy operacyjnej generała Kummera. Polecono im przekazywać wszystkie uzyskane informacje. O nieprzyjacieli. Na rozkaz władz carskich jeden z plutonów strzeleckich obsadził stację i tunel w Miechowie. Później marszu do Kielce nie napotkano regularnych oddziałów armii carskiej. Doszło jedynie do potyczki strzeleckich patroli kawalerskich z szybko wycofującymi się oddziałami straży ziemskiej i granicznej.

12 sierpnia 1914 r. bojowe oddziały strzeleckie wkroczyły do Kielce. Już w kilka godzin później doszło do starć z pododdziałami rosyjskiej 14 Dywizji Kawalerii. Po nadejściu jej sił głównych, które rozpoczęły ostrzał artyleryjski i okrażanie miasta, batalion strzelecki wycofał się 13 sierpnia z Kielce. Następnego dnia walczył on wspólnie z batalionem Ta-



12.VIII.1914 r. — Wkroczenie polskich oddziałów strzeleckich do Kielce.

Archiwum Dokumentacji Mechanicznej

ścieżkami — prosto na nasyp kolejowy. Wyjeżdżający z za zakreślenia pociąg o mało nie przejechał nas wdrapujących się na nasyp. Tor kolejowy opasuje Balaton dokoła, w niewielkiej odległości od samego jeziora.

Gdzie jest plaża? Jedyne piasek nad Balatonem znaleźć możemy w piaskownicy dla dzieci. Lete w niej i opalam się. Dziecko boi się zejść po wąskich, drewnianych oślizłych schodach do jeziora. Przynajmniej wiadomo, że nie utonie.

Spacerujemy po miasteczku. Odwiedzamy sklepy.

ACH, TE SKLEPY WĘGERSKIE!

Dużo i z zachwytem mówi się o nich w Polsce. O bogactwie ich zaopatrzenia, pięknie wystroju. A czy stać Węgrów na to, aby kupować w tych sklepach? Niewiele ludzi można w nich spotkać. Zastanawiam się też, gdzie podzieli się nasi współczesni wyciecznicy. Nie widać ich ani na plaży, ani w miasteczku.

Zgodnie z programem wycieczki, jeden raz dziennie, po południu, otrzymujemy gorący posiłek w restauracji oraz suchy prowiant na wieczór i następny dzień. Jemy przy stolikach ustawionych na tarasie, na dworze, naprzeciwko dobrze zaopatrzonego sklepu spożywczego. Niejeden fornit pozostawił w nim z powodu łakomstwa: są tam bowiem doskonale czokoladki i kawa, którą się samemu mieli na miejscu.

Obiady, które otrzymujemy w knajpce są pierwszorzędnego jakości: dadzą się zjeść, nawet gdy czasem są przyrządzone po węgiersku, na ostro. Karmieni jesteśmy uczciwie. Również prowiant wystarcza na cały dzień, jest go aż nadto...

A jednak... Znalazła się grupka ludzi niezadowolonych, którzy postanowili gwałtem wycofać pieniądze — 200 forintów dziennie — za wyżywienie. Twierdzą, że jedzenie jest podłe, oszukane, że dają go za mało. Wybuchła karczemna awantura.

Wszystko to spadło na głowę pilotki, która usiłowała wyjaśnić, tłumaczyć... Nie nie pomogło. Węgierscy kelnerzy i kucharze stali i patrzyli zdziwieni na tę scenę. Co się stało?

Pilotce trudno się z nimi porozumieć, trudno coś załatwić, ponieważ nie zna języka niemieckiego. A oni również — jak nasi gospodarze — mówią tylko po niemiecku. Wreszcie, po długim awanturowaniu się, waleczna grupa postawiła na swoim: wycofali pieniądze. Nie będą tu więcej jeść.

POLACY CHĘTNIE JEJĄDZĄ ZA GRANICĘ

Wycieczki do Bułgarii, Rumunii, Jugosławii itd. mają ogromne powodzenie. Zna więc większość z nas pilotki (przeważnie są to kobiety) wycieczek zagranicznych. Wiemy, że lubią się one bawić, używać życia, skupiając — jakże często — wokół siebie wszystkich wolnych panów przebywających na wycieczce, nie pozwalając oddalić im się od siebie choćby na jeden dzień. Znamy również te długie, czule sceny pożegnania, gdy pilotka, która poznała kogoś za granicą, nie może wprost z nim się rozstać, by po upływie godziny czy dwóch (tyle, ile potrzeba na przejazd do Polski) o mało nie wyskoczyć ze skóry na widok ukochanego męża. Znamy też izy wzruszenia lejące się przy powitaniu — tak prawdziwe, tak szczere! Te oczy samgłone tęsknoty!

Nasza pilotka jest skromna, poważna. Starannie wykonuje swoje obowiązki związane z wycieczką, jest zawsze pomocna w kłopotach, problemach. Dlaczego akurat ona musi przeżywać takie przykrości? Dlaczego na nią wykrzywiają się wściekle twarze awanturowanych się ludzi? Ani na chwilę „nie wychodzi z siebie”.

— Napisać sprawozdanie o tym wszystkim — odpowiada spokojnie.

Nadal nie wiemy, gdzie podziwiał się polska grupa przez cały dzień. Nikt — prócz miłego starszego pana — z nami nie rozmawia. Owszem, jest trochę niesnasek.

W jednym z pokoiów mieszkają dwie młode dziewczyny. Wieczorem, powróciwszy do domu, zaczynają ubierać się, szykować do wyjścia. Kiedy my kładziemy się spać, one — wychodzą. Wracają około godziny 3-4 nad ranem, odprawione przez grupę podbitej młodzieży. Już drugiego dnia pobytu, z krzykami i wyciem dobijają się do zamkniętych drzwi.

Pierwszej nocy otwiera im starszy pan. Padają wyzwicka, dlaczego tak długo kazał im czekać? Słuchamy z bijącymi sercami. Starszy pan obraża się i postanawia więcej nie otwierać drzwi. Dziewczyny żądają, aby drzwi pozostawiano na noc otwarte. Na to nie zgadza się ani węgierska gospodyni, ani my.

Wydawać by się mogło, że po takich eskapadach młodzież będzie spać do południa. Ale gdzież tam! Kiedy budzimy się, około 7 rano, ich już nie ma, wyszli.

Po kilku dniach dopiero starszy pan uchyla przed nami rąbką tajemnicy. Jego syn, wraz z dwiema wspomnianymi dziewczynami, wybiera się codziennie, wcześniej rano na bazar do sąsiedniego miasteczka. Może zechce z nimi pojechać? Zabiorą mnie chętnie.

Teraz dopiero, po tej wiadomości, uzmysławiamy sobie jasno fakt, że nikt z Węgrów nie przychodził do naszego pokoju, nie pytał, czy mamy coś do sprzedania, nie ścigał z nas wręcz ubrania, tak, jak to działo się w innych krajach.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Tajemnica wycieczki na Węgry

POLACY JEJĄDZĄ HANDLOWAĆ NA WĘGERSKIE BAZARY

Przypominam sobie, że ktoś mówił w autobusie, kiedy tutaj jechaliśmy, iż powstały jakieś komisje do walki z tego rodzaju handlem — ale żeby się tym specjalnie nie przejmować. Chwila zastanowienia i wahania: Tak! Muszę to przeżyć sam! Muszę zobaczyć, jak Polacy handlują na bazarze! Jadę jutro!

Trzeba wyjść z domu o godz. 5.15, aby zdążyć na pociąg odchodzący o godz. 6.00 z dworca, położonego na drugim końcu miasteczka. Wychodzimy szybko, w milczeniu. Na dworze już zaczyna robić się gorąco. Droga prowadzi pod górę. Mam walizkę z kórkami, ale droga jest nierówna i jest mi ciężko. Inni niosą swoje walizy w rękach. Jest godz. 5.30. Ledwie żyję. Zbiegam w dół z wysokiej góry Łapie walizkę w locie. Czuję, że za chwilę „padnę trupem”. Ale nagle wszyscy zatrzymują się. Znajdujemy się bowiem u wrót kościoła katolickiego. Owiewa nas surowy chłód płynący z wnętrza. Na drzwiach kartka z wypisanymi godzinami nabożeństw dla Polaków. Wszyscy przyklekają.

— Tak! mamy zwyczaj — objaśnia mi jedna z dziewczyn — żeby się nam poszczęścić.

Dochodzimy wreszcie do dworca. Ktoś idzie kupić bilety dla wszystkich. Reszta siada w bufecie dworcowym, który nieczynny nie przypomina polskich placówek tego rodzaju. Mała filiżaneczka kawy ratuje mi życie.

Jest godz. 5.55 — za pięć minut odjedzie nasz pociąg. Wychodzimy na peron. I oto następuje olśnienie. Jest! Znalazła się wycieczka! Na peronie są wszyscy uczestnicy polskiej wycieczki na Węgry. Wszyscy? Nie ma pilotki, pułkownika milicji z żoną i kilkunastoletnią córką, starszego pana, który nie ma już siły na takie eskapady, kierowcy.

W pociągu przypominam słowa starszego pana.

— Kiedy pociąg zatrzyma się na stacji i wysiądzie z niego tłum Polaków z tobołami, należy iść za nimi.

JESTEŚMY NA BAZARZE!

Wszyscy prawie biegną, dopadają wolnego miejsca i szybko, sprawnie ustawiają się jeden za drugim, jeden za drugim, ciasno... Torby i walizki zostają otwarte...

Próbuję przysiąść na walizce. Syn starszego pana stoi tuż obok mnie.

— Ja wolę stać — mówi — Tak jest lepiej.

Rozpoczyna się handel. Węgierki przechodzą, oglądają, wybierają. Nie z nabożeństwem ani uszanowaniem bynajmniej. Ironiczne uśmiechy i uwagi są częste. Dobrze, że ich nie rozumiemy.

— Dzięki pracy — mówi syn starszego pana — człowiek jest wolny i szczęśliwy...

Na moje zdumione spojrzenie wyjaśnia:

— Tak, bo ma pieniądze...

Rakiety do tenisa poszły jak woda, po dość wysokiej cenie. Ciekawe, że kupiono je na sztuki, a nie parami. Nowe ubranie także „idzie”. Dziewczyny wiedziały, co mają przywieźć. Teraz one, jak również syn starszego pana, nie mają już towaru. Nawet walizki zostały sprzedane. Bazar jest tłumnie odwiedzany przez miejscową ludność. Może to skutek drożyzny w węgierskich sklepach? Najtaniej kupuje się u Polaków.

I ja zarobiłam trochę, mimo że nie miałam nowego towaru. Moje łakomstwo znów będzie usatysfakcjonowane...

W programie imprezy znajduje się

WYCIEZKA DO BUDAPESTU

Dojeżdżamy tam w dwie godziny. Autobus obwozi nas, jadąc pędem, po centrum miasta. Pilotka mówi, że ot tam, gdzieś daleko, znajduje się wyspa ogromnie interesująca. Jeszcze mały spacer po ulicach starego miasta. Gdzieś

mu tam do warszawskiej Starówki! Albo do krakowskich uliczek! Na tym koniec.

Idziemy na obiad, a po obiedzie mamy kilka godzin czasu wolnego aż do odjazdu.

Biegamy w tę i z powrotem jedną z ulic centrum miasta w straszny upał. Szybko mamy dosyć zakupów. Nagle sklep ze słodyczami. Chcę czegoś napić się, wchodzę i... cudi! Wnętrze sklepu wygląda jak elegancka bombonierka! To było chyba najciekawsze przeżycie z całej wycieczki. Albo może najpiękniejsze.

Z POWROTEM, DO KRAJU

Trzeba wstać o 5 rano. Zapowiedź pilotki brzmi kategorycznie: — kto się spóźni, zostanie! Dziewczyny przychodzą dostawnie w ostatniej chwili. Wrócili do domu pół godziny temu, zasnęli twardo i koleżanki dobudziły je z trudem.

W pierwszym dniu musimy dojechać do granicy węgiersko-czeskiej, przejechać przez całą Czechosłowację (bez obiadu, ale tym razem z obfitym węgierskim prowiantem), aby zakończyć tę ponad 15-godzinną trasę w Polsce, w Mysłowicach, gdzie czeka na nas kolacja i nocleg. Na węgierskiej granicy spotykamy Polaków, wracających z wystawy, psów w Budapeszcie. Nawiązuje się krótka, fachowa rozmowa.

Odprawa paszportowo-celna trwa krótko. Zgodnie z przepisami, z Węgier nie wolno wywozić, praktycznie rzecz biorąc, niczego, od kawy i herbaty począwszy, na zabawkach typu lego skończywszy.

Grupa młodzieży skupiła się razem, w jednym miejscu z tyłu autobusu. Zachowują się hałaśliwie, palą papierosy, siedzą chwilami po kilka osób na jednym miejscu; to zresztą co cenniejsze się zmienia. Jeszcze nie wytrzeźwiali po nocy, a już pociągają spore łyki wina z butelki.

W Czechosłowacji krótki postój. Robimy małe zakupy. Niektórzy młodzi ludzie spóźniają się na miejsce zbiórki. Mija godzina odjazdu, a ich nie można nigdzie znaleźć. Są wśród nich znajome nam dziewczyny. Przychodzą pijane. W odpowiedzi na zwracane im uwagi — śmieją się. Podobno miały scyzja w sklepie — nie zapłaciły za towar, a personel sklepu wzywał milicję.

GRANICA

Po tamtej stronie: to już Polska! Do autobusu wchodzi żołnierz czechosłowackiej straży granicznej. Sprawdzają dowody osobiste. Młodzież zasnąła na dobre. Budzenie idzie z trudem. Jedna z dziewczyn leży na dwóch miejscach w niezbyt przyzwyczajonej pozycji. Budzona, szarpana, nie może znaleźć ani torebki, ani dowodu.

Żołnierz zdecydowanie odwraca się w kierunku wyjścia. Jego wzrok pada na dziecko, które zdążyło już zasnąć. Pada szybka decyzja: osoby bez dowodów osobistych zostaną zatrzymane. Autobus może odjechać!

Dopiero następnego dnia dowiadujemy się, że tylko dziecku zawdzięczamy fakt, iż nie zostaliśmy na granicy przez następne 12 godzin (do wytrzeźwienia).

W pół godziny, które były potrzebne dla dokonania odprawy celnej odnalazły się dowody osobiste. Wycieczka odjeżdża w całości, ale z dużym opóźnieniem.

W autobusie wrze, padają głośne uwagi oburzonych ludzi. Młodzież odcina się z nawiązką.

Wstaje pułkownik milicji. Twardym głosem mówi:

— Przrzekam wam, że w ciągu najbliższych 10 lat za granicę nie wyjedziecie. Jeszcze dziś zostanie sporządzony protokół. A jutro — jak wytrzeźwiejecie — porozmawiamy ze sobą na zimno...

DOJEJŻDZAMY DO MYŚLOWIC

Mamy wątpliwości: — czy będą czekać na nas z kolacją? Czekają! Zjadamy posiłek, nie przypominający, niestety węgierskich obiadów.

Następnego ranka budzimy się już w nieco lepszych humorach. Młodzież jest od rana trzeźwa, spokojna, ale ostentacyjnie obrażona. Z oczu wylazła jednak tłumiona strach: większość wśród niej stanowią bowiem członkowie zespołu muzycznego który często koncertuje właśnie poza granicami kraju.

Pułkownik milicji podnosi się i przechodzi z kartką w ręku do mikrofonu na przodzie autobusu.

— W związku z zajściami — mówi — które miały miejsce, pragnę odczytać sporządzony w dniu wczorajszym protokół:

„Stawiamy wniosek o utrzymanie wszelkich wyjazdów zagranicznych dla grupy młodzieży na okres 10 lat...”

Wymieniono nazwiska i incydenty jakie miały miejsce w czasie powrotnej drogi i na czesko-polskiej granicy. Okazuje się, że węgierski gospodarz jednej kwatery, w której mieszkała młodzież, zgłaszał ustawiczne skargi.

— Jeśli młodzież nie ustosunkuje się w ciągu dwóch minut do swojego postępowania — mówi dalej — i nie przeprosi reszty podróżnych, niniejszy protokół zostanie przesłany do Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Po krótkiej szepcance, jeden z chłopców natychmiast wstał i przeszedł do mikrofonu. W słowach pełnych skruchy przeprosił wszystkich obecnych w imieniu całej grupy młodzieży. Przyszłość, że takie postępowanie nie powtórzy się nigdy więcej, prosił o przebaczenie i darowanie kary.

W autobusie spontanicznie, z wielu stron zaczynają odzywać się głosy, wołania: — przebaczyć, darować, przeprosi!...

Wobec takiej postawy młodzieży i wyraźnej woli przebaczenia, okazanej przez uczestników wycieczki, winy zostają darowane, a protokół zniszczony.

W CZĘSTOCHOWIE

zatrzymujemy się na obiad, opłacany własnymi pieniędzmi. Tym razem nie pada propozycja, czyniona zwykle przez kierowców wycieczek:

— Może chcieliby państwo pojechać do Kłasztoru na Jasnej Górze?

Po obiedzie wsiadamy do autobusu. Młodzież siedzi tak spokojnie, jakby jej w ogóle nie było. Nie pali papierosów. I każdy na swoim miejscu!

Rozmawiam z miłym, starszym panem.

Wtem... syn starszego pana siedzący za nami z tyłu obok innego młodego mężczyzny

ZACZYNA SIĘ Z NIM BIC

Po cichu, bezgłośnie, najpierw dłuższy czas na siedząco: dopiero po chwili, wśród zajeżdżających, walczą mężczyźni powoli wstają. Krew pokazuje im się z nosów, z uszu, między palcami pozostają kępki wyrwanych włosów. Nie zauważam niczego do momentu, kiedy starszy pan, w trakcie rozmowy ze mną, gwałtownie wstaje i, odwrócony, rekoma wystawionymi ponad oparciami foteli usiłując ich powstrzymać i rozdzielić. Głęboko zdenerwowany: mówi gwałtownie — przestań... przestań!...

Autobus zatrzymuje się. Kierowca wstaje ze swojego miejsca, podchodzi do walczących, których już zdążono rozdzielić i rzuca tych znamienitych kilka słów:

— Po wszystkich mógłbym się tego spodziewać, ale po was?...

Dlaczego? O co się pobili?

Autobus rusza, ale ponieważ istnieją obawy, że mężczyźni znów zaczną się bić — syn starszego pana, trzęsąc się cały, rzuca straszne groźby i wyzwiska, przeciwnik zaś ociera krew płynącą z nosa i brwi i uśmiecha się słośliwie — przetrząsany przetrząsany zostaje krótki, nie planowany przedtem, postój w lesie. Ogólne zdenerwowanie i przynębnienie znów zaczyna w grupie dominować.

W międzyczasie, jak to zwykle bywa, kierowca zatrzymuje się kilkakrotnie i wysadza ludzi w różnych punktach zanim dotrze do miejsca docelowego. Tak się składa, że obaj waleczni wsiadają na jednym przystanku.

I oto obserwuję ciekawe zjawisko. Nie przywiązując najmniejszej wagi do rozegranej niedawno bójki, duża część wycieczki skwapliwie bierze numer telefonu tego drugiego, który bil się z synem starszego pana. Zapisują go sobie w notesach, chwytają podawane im małe karteczki, tak błyskawicznie, tak sprawnie, niemal automatycznie, jakby cała scena była uprzednio dobrze wyreżyserowana i wielokrotnie powtarzana. Wszystko to odbywa się w ciszy, bez zbędnych słów.

Koniec podróży. Pilotka żegna wycieczkę słowami:

— Różne rzeczy się wydarzyły w czasie tego pobytu, te miłe i te mniej przyjemne, jedno jednak jest pewne, że piękna pogoda dopisywała nam przez cały czas.

Fakt.

I tylko czasem, o brzasku, budzi mnie nagle dręczące w snach pytanie: Dlaczego kierowca nie pozwolił nam wstawić walizek do bagażnika?

BARBARA KONOPACKA

— To wszystkie utrudnienia? — pytam, a Grzegorz Galasiński wymiata kieszonkowy kalkulator i trzymając w ręku regulamin lotów, coś szybko oblicza.

— Jeszcze mogę dodać — śmieje się Wiesław Fiszer — że część punktów kontroli czasu jest jawnych, piloci o nich wiedzą, a część jest ukryta.

— Wyszło 8155 punktów karnych — oświadcza nagle Grzegorz Galasiński i dodaje — ja bym się na taki regulamin nie zgodził. Ja bym się zbuntował.

Jest to największa ilość punktów karnych, jakie pilot może zarobić, ale przecież każdy stara się, aby zarobić ich jak najmniej.

Marian Wiczorek

ILUŻ NIE IEST TAINY.

zakończyła się konkurencja i mógł rozmawiać z kim chce, nawet z dziennikarzami, wypuszczono bowiem pilotów z aresztu. Pytam go, czy regulamin rzeczywiście musi być taki surowy?

— Naturalnie, że musi. Inaczej nie byłoby zabawy.

W Łodzi Marian Wiczorek reprezentował Polskę I. Na VI Mistrzostwach Świata Rajdowo-Nawigacyjnych, które w tym roku odbyły się w Castellon w Hiszpanii, wspólnie z Wacławem Nyczem wywalczył brązowy medal.

— Ile punktów karnych może zarobić dobry pilot w lataniu precyzyjnym?

— Czołówka na tych zawodach — mówi Marian Wiczorek — nie powinna przekroczyć 100 punktów karnych, ale mogą też zdarzyć się wyniki z 1000 punktów. Jest to latanie precyzyjne. Dlatego każdy pilot od momentu wejścia na próbę obliczeniową do momentu rozliczenia się z lotu musi być niebynale dokładny, akuratywny i precyzyjny.

— Czy w życiu prywatnym jest pan też taki precyzyjny?

— Ależ skąd! Wrecz przeciwnie. Ale może właśnie dlatego potrzebuję mi od czasu do czasu takiej dawki precyzyjności, aby potem móc normalnie funkcjonować? Bardzo przepaszam, ale muszę biec, aby zaliczyć basen!

I pobiegł. A ja zostałam niczym słup soli. Znowu jakaś tajemnica. Szybko jednak wyjaśniło się, że jest taka tradycja, iż najlepszego w danym dniu pilota wrzuca się do basenu. Na Lublinku rolę basenu spełniał zbiornik przeciwpożarowy. Ba! Ale skąd oni wiedzą, kto był tego dnia najlepszy, skoro wszystko jest tajne, oni są tajni i na dodatek siedzą w areszcie?

Z ARESZTEM NIE MOGI SIE POGODZIĆ

Aleksander Kozłowski, Polonus milioner, który do Polski przyjechał z USA na wakacje i zlaśniał się w miejscach, gdzie go najmniej się spodziewano. Najpierw pojechał do Mielca, poszedł na mecz mielecki Stali i tak mu się drużyna podobała, że postanowił ją kupić. Bardzo się zdziwił, że to niemożliwe.

Po przyjeździe do Łodzi postanowił kupić samochód, ale mu poradzono, że lepiej będzie wypożyczyć. Tak też uczynił. Przjechał na Lublink. Było gorąco. Chciał mu się pić. Ale napoje były też ciepłe. Powinny być zimne. Dlaczego nie są? Okazało się, że dlatego, bo nie ma zamrażarki.

— Co za problem — zawołał Aleksander Kozłowski — pojedziemy do miasta i kupimy tyle, ile potrzeba zamrażarek!

Na szczęście była wolna sobota i wyjaśniono mu, że w wolną sobotę sklep z zamrażarkami są zamknięte.

Zobaczył areszt i zamknię-



Oczy i serca aeroplanu

tych tam pilotów. Bardzo mu się to nie podobało.

— Oni tam, bidaki, strasznie się nudzą. To ja im sprowadzę ze cztery striptizerki!

— Nie można! — na organizatorów padł błąd strach. — Regulamin nie pozwala!

— Co za problem — wrzucił ramionami amerykański Polak — należy zmienić regulamin.

Trzeba było jakoś Polonusa gwałtownie zneutralizować. Ktoś wpadł na pomysł, aby mu... powierzyć opiekę nad aresztem. I udało się. Ze swoich nowych obowiązków wywiązał się znakomicie. Nadal miał jednak szalone pomysły.

— A zwycięzcę — wykrzykiwał — polejemy szampanem z motopompy. Motopompe, macie? Szampana to ja już kupię. Ile tam wehodzi? Dwa tysiące butelek? Co za problem! Kupię dwa tysiące butelek!

Na skraju lotniska rozbito duże namioty i tam właśnie był areszt. Każdy pilot po wylądowaniu był eskortowany przez sedziego do namiotu. Sedzia zabierał mu wszystkie mapy i całą dokumentację. A pilotowi nie wolno było z nikim się kontaktować, aby przypadkiem nie przekazać innym wiadomości o trasie. Tego reżimu ściśle przestrzegano.

I to właśnie my, czyli Grzegorz Galasiński i ja, naruszyliśmy ten reżim, prosząc o informacje sedziego i pchając się do kabiny pilota, gdzie Galasiński chciał zrobić zdjęcia. Na szczęście pilot był Węgrem, nikt z nas nie zna węgierskiego, więc porozumieć się byłoby trudno, ale Węgrzy mogli mimo wszystko założyć protest. Nie zrobili tego. I organizatorzy i my odetchnęliśmy z ulgą. Pilotom w areszcie nie nudzi się, gdyż dzielą się wrażeniami z trasy, poza tym obliczają wyniki. Oni najlepiej się orien-

tuja, kto i ile punktów zarobił i za co. Stąd też wiedzą, kto był najlepszy i kogo trzeba wykapać w basenie. Wyniki zawodów są tajne do ich końca. Jedynie kierownicy drużyn otrzymują rezultaty swoich drużyn na bieżąco, ale nie mogą wiedzieć o wynikach konkurentów.

PO CO TA TAJEMNICA?

Na to pytanie próbuje mi odpowiedzieć redaktor Jerzy Iwaszkiewicz.

— Chodzi po prostu o to, aby ani organizatorom mistrzostw, ani nikomu innemu nikt nie mógł zarzucić, że warunki konkurencji nie były równe dla wszystkich pilotów. Jest to na szczęście jeszcze czysty sport, w którym liczą się tylko umiejętności pilotów i rywalizacja. I piloci bardzo tego przestrzegają, żeby tak było.

— I to im się udaje?

— Na ogół tak, choć zdarzały się różne numery. Dwa lata temu, na mistrzostwach rajdowo-nawigacyjnych w Parmie, Włosi robili wszystko, aby zwyciężyła ich drużyna. Wydłużili odcinki. Niby wszystko w porządku, „Włogi” mają teoretyczny zasięg 560 km. W praktyce ten zasięg wynosi od 480 do 500 km. Teoretycznie Polacy mogli pokonać te wydłużone odcinki tras, ale faktycznie nie, musieli się przesiąść na „Złiny”. Mimo tych trudności zostali wicemistrzami świata. A piloci włoscy mieli potężnego koca moralnego. W Hiszpanii, w tym roku, opiekowali się naszymi pilotami jak mogli, aby tylko zatrzeć tamto złe wrażenie.

Poza tym brak oficjalnych danych o wynikach rywalizacji do końca zawodów jest swego rodzaju odwrotnością dopingu. Piloci mogą być na luzie, nie wpadają w stresy.

— A emocje?

— Są i emocje — mówi Edward Popiołek. — Przede wszystkim pilot ma świadomość, że jeden błąd, jedno zagapienie się, może przekreślić wszystko. Przez cały czas musi być niebynale skoncentrowany. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Trzeba stale kontrolować prędkość, wysokość lotu, odszukać znaki, porównywać zdjęcia z tym co widać na trasie. Do tego pilot ma świadomość, że przed nim i za nim lecą inni, którzy muszą zrobić to wszystko tak samo, albo jeszcze lepiej. Więc ja muszę to zrobić jeszcze lepiej niż on. Jest to stała walka, tym trudniejsza, że z rywalem, którego tylko się czuje, że jest, ale o niego nie widzi, ani nie wie, jak on to robi.

W tym trudnym locie, wymagającym precyzji, umiejętności i wytrwałości pilot jest sam. Gdy nagle popusze się pogoda, gdy pogarsza się widoczność, gdy kończy się benzyna, gdy nagle może wysiąść silnik...

Próbowałam namówić pilotów na

OPOWIEŚCI MROŻĄCE KREW W ŻYLACH

— W życiu pilota — próbował opowiadać Marian Wiczorek — który w „małym lataniu” wylatał 4000 km zdarzyło się to i owo...

— Ale co?

— No, raz rozleciał mi się silnik w locie.

— No i co się stało?

— Trzeba było lądować. Na szczęście było gdzie.

Poszłam do Edwarda Popiołka.

— Miałem kilka takich przygód.

— Jakże one były?

— Nis nadzwyczajnego. Szczęśliwie lądowanie zależało od jednego pociągnięcia drążkiem sterowym. No, bo jak się leci 10 — 20 m nad ziemią, jest ciemno, nie widać, a szybkość przekracza 100 km na godzinę, to wystarczy jeden moment nieuwagi i koniec. Ale się udało. Największe emocje są jednak na zawodach.

Jerzy Iwaszkiewicz też latał. Może on coś opowie. W końcu przecież jest dziennikarzem. I nie zawiodłam się.

— Są mocne wrażenia. Leci się na przykład na wysokości 200 — 300 m. Silnik nagle staje. Trzeba lądować. Na lądowanie pozostaje... 30 sekund. Dłuzsze trzeba podejmować decyzje. Głównym obowiązkiem może być ostatnią czynnością w życiu.

— Przeżył pan coś takiego?

— Owszem. Leciłem wtedy z Witoldem Świądkiem. Silnik nagle zgasł. Pod nami był las. Lądowanie na drzewach to był koniec. Szansa uratowania się była jedna do miliona. Wtedy obaj instynktownie pociągnęliśmy drążek w lewo, jakby sznurkiem ktoś nam ręce związał. Wylądowaliśmy na polu tuż pod lasem. Po 15 minutach przyjechał kierownik pobliskiego browaru... z kielbasą i piwem. Bardzo zdziwił się, że szybsi od niego byli lekarze, którzy założyli mi gips na złamaną rękę. Ale ja już do samolotu wsiałem z gipsem na rękę.

DLACZEGO POLACY SĄ DOBRZY?

A że są dobrzy, nie ulega wątpliwości. Świadczą o tym sukcesy. Zaczęło się od 1977 roku. Na II Mistrzostwach Świata Samolotów Lekkich w Wels w Austrii Polacy zdobyli wicemistrzostwo. O włos lepsi byli Szwedzi.

Sześć polskiej ekipy w Łodzi, kilkakrotny mistrz Polski, Edward Popiołek jest srebrnym i brązowym medalistą mistrzostw świata w lataniu indywidualnym oraz dwukrotnym drużynowym mistrzem świata.

Od 1977 roku Polacy należą do czołówek pilotów i niemal co roku przywożą sukcesy. Krzysztof Lenartowicz od 1982 roku stale przywozi z mistrzostw złote medale. W tym roku przywoził złoto z Hiszpanii.

Od początku Polacy latają na „Wilgach”. Dziś są one ulepszone w stosunku do tych z lat siedemdziesiątych. W tych starych „Wilgach” w czasie lotu lubiły otwierać się drzwi i wylatywały z kabiny marynarki, dokumenty, mapy i co tam jeszcze było. „Wilgi” nazywają niektórzy „powietrznymi traktorem”, bo strasznie dużo zżerają paliwa. Ma też „Wilga” inną wadę — nie jest najlepsza w próbach lądowania. Ma natomiast znakomitą widoczność — i to jest jej podstawowa zaleta.

Aby pokonać Polaków w Parmie Włosi uniemożliwili im latanie na „Wilgach”: w Łodzi drużyna szwedzka pożyczła polskie „Wilgi”, ale i to im zbytnio nie pomogło.

W III Samolotowych Mistrzostwach Europy w Łodzi pierwszym miejscem zajął Janusz Darocha, drugie — dotychczasowy mistrz Europy — Krzysztof Lenartowicz, trzecie — Marian Wiczorek. Polska I zajęła pierwsze miejsce drużynowo. W czym więc tkwi tajemnica?

— Zdziśław Dudzik dokonał tego, czego w polskim sporcie nie udało się nikomu — mówi Jerzy Iwaszkiewicz. — Stworzył grupę pilotów, której powiedział: — „Nie jest ważne, który z was dziś wygra, ważne jest, że musi wygrać jeden z was. Więc musicie się nauczyć tak latać, aby zawsze jeden z was wygrywał, aby zawsze na czele był Polak”. I oni się tego nauczyli.

Zdziśław Dudzik był pilotem wojskowym. Na paradach lotniczych on zawsze prowadził sportowy kluczek samolotów. Był również znakomitym pilotem sportowym. Od 1970 roku poświęcił się szkoleniu pilotów. Od 1977 roku trenował mistrzów. Zmarł nagle w 1983 roku. Dokładnie na dzień przed ogłoszeniem przyznanego mu już tytułu najlepszego trenera roku.

— Zdziśław Dudzik za-

brakło — mówi Jerzy Iwaszkiewicz — ale trwał dalej to, czego nauczył pilotów. Rozumieją się wspaniale i zdobywają tytuły mistrzowskie. Lenartowicz znakomicie dogadał się z Darochą w Hiszpanii i przywrócił do Polski złoto. Dzięki nauczyli ich jeszcze jednego — myślenia. Zdobycie mapy tych rejonów, gdzie miały odbywać się zawody. Gdy miały one być w Norwegii, to na kilka miesięcy przed zawodami powiesił na ścianie mapę Norwegii. I wpatrywał się w nią. — „Bo widzisz — tłumaczył — ja tu sobie tak głowię, co oni tam mogą wymyślić, gdzie zastawić pułapki. Przecież to też są ludzie, można więc przewidzieć, na jaki wpadną pomysł”. W ten sposób nauczył pilotów uruchamiania wyobraźni na długo przed startem do konkurencji. I to ma ogromne znaczenie podczas lotu. W Hiszpanii, w czasie treningów, Polacy dokładnie przewidzieli dwa punkty, które później odnaleźli w czasie zawodów, jako konieczne do odnalezienia. A więc umieli przewidzieć, co zrobią organizatorzy. Tego ich nauczył Dudzik i to procentuje zwycięstwami.

O PILOTACH LUDZIE MAŁO WIEDZĄ.

bo pilot jest sam w kabine. Najwyżej z drugim pilotem. Ludzie patrzają, jak samolot leci i skąd mają wiedzieć, co się tam dzieje w sercu, i myślach pilota, który jest oczyma i sercem maszyny.

— Co panu dało latanie na sportowych samolotach? — pytam Edwarda Popiołka.

— Satisfakcję, zadowolenie, wiele emocjonujących przeżyć. Albo kpi, albo pytanie było głupie. Ale on nie kpił. Pieniądzy to mu na pewno nie dało.

Przypomniałam sobie Mundial '86. Mistrz świata Krzysztof Lenartowicz siedział w mundialowym studio i robił dobrą minę do złej gry polskich piłkarzy. A oni nawet za tę złą grę dostali jakieś pieniądze.

Marian Wiczorek — pilot PLL „LOT” — musiał wziąć na trzy wiosenne miesiące bezpłatny urlop, aby móc potrenować przed mistrzostwami. A w Hiszpanii polscy piloci z własnych pieniędzy składali się na benzynę.

— Czy zauważyła pani — już nie pamiętam, kto to powiedział — że jak nasi piloci, wysiadają z autokaru, to wcale nie przypominają sportowców?

To prawda. Każda ekipa miała swoje, jednolite efektywne stroje. Nasi chodzili w prywatnych dżinsach. Ktoś o czymś widać zapominał albo na urlop wyjechał. Ale prawda okazała się bardziej prozaiczna. Otóż oni nie należą do jakiegś tam federacji i przepisy nie pozwalają, żeby im kupić dresy. Innym pozwalają. Nam nie. A medalami, to oni mogliby obdzielić kilka ubogich w medale i sukcesy popularnych dziedzin sportu i jeszcze by im zostało.

— To niech pani jeszcze zapyta — podpuszczał mnie Jerzy Iwaszkiewicz — czy tym, co się składali w Hiszpanii na benzynę zwrócono pieniądze.

Zapytałam i... żałuję.

Marian Wiczorek zawstydział się i zaczął się śmiać jak szubak na pierwszej w życiu randce. Z tego duktowania wynikało, że jeszcze nie, ale wszystko będzie dobrze, że obiecano, że nie ma o czym mówić i tak w ogóle, to nie jest tak źle.

Zrobiło mi się smutno.

Wracając do domu powtarzałam w pamięci: „Aeroplan, najpiękniejszy ptak biały, leci w oddal, ponad chmur szarych — Ma skrzydła jak szarańcza. Jest jak orzeł śmiały. A oczy ma i serce męczynny”.

BOGDA MADEJ

Foto: Grzegorz Galasiński

Jacek Maciaszek

Utonięcia

stada dziewcząt i chłopców
pod pępkim
dusza tkwi
jak kolec
rodzaj
liczba
i przeznaczenie
dusza rwie się do nieba
aniol stoi za
drzewem

przewrócił na drugi bok
płyną rzeka
a rzeka jest przez chwilę
groźnym wielorybem
potem wraca do normy
na kogo po
padło na te
go bęc

Minimum

trzeba spać żeby
budzić się w nocy

trzeba jeść żeby
nabrać mięsa w
nocy krwi w dzbany ciała

trzeba oddychać żeby
unieść się choć trochę
ponad

trzeba biec żeby
nie zwalniać
ogólnego tempa

no i

trzeba pić i bluźnić
żeby pić w jako takim
grzechu

Pory

zimę trzeba przetrzymać
święto wiosny odbębnić
bo już lata za pasem
nabite kolt

☆☆☆

wyrażam nadzieję (a właściwie pragnę)
że
tak wiecznie być nie może dzień
nocy
a po nocy dzień niezwłocznie
i ciągle
bez skutku i wbrew i poniżej i nie
do
jednak wyrażam pogląd że mogę się
mylić

Kość

jak każdy szanujący się
płes
chciałbym mieć swoją kość
ciepłą i miękką
pełną osocza
pokrytą mapą cieńskich żył
pod białym prześcieradłem
ciepła i zgodna
raz na miesiąc krwawiąca
po kątach

Wyspa

marynarze obcych bander
przepłynęli przez nią
nie emulując nawet do jej brzegów

jestem różą wiatrów mówila
więc dlaczego widać zawsze
nad ranem

brodziła w ich tatuażach kolysała się
chciała czerować im skarpety ale
zakazali

dojrzywała w niej perla
którą zagubili
odpłynęli i już nigdy nie znaleźli jej
na mapie

Gdy latem 1984 roku estradę na stadionie w Kansas City, gdzie rozpoczęło się słynne tournée „Victory” braci Jackson, oświetliły kolorowe jupitery, a z głośników popłynęły pierwsze taktory utworu „Wanna Be Startin' Somethin'”, pochodzącego z albumu „Thriller”, wydawało się, że nikt nie jest w stanie dorównać, pod względem popularności, „księciu muzyki pop” — jak nazywano wówczas Michaela Jacksona. Aż tu nagle na melomana spadł „Purpurowy deszcz”. Chodzi oczywiście o tytuł filmu z udziałem Prince'a — ciemnoskórego kompozytora i wokalisty, jednocześnie autora muzyki, która znalazła się na logplayu „Purple Rain”. Jego utwory, takie jak „When Doves Cry”, „Let's Go Crazy” czy kompozycja tytułowa ze wspomnianego filmu, szybko zyskały miano przebojów, a on sam stał się głównym konkurentem Michaela Jacksona. Przez pewien czas wydawało się, że to właśnie Prince będzie nowym królem światowych

rolla, wróć mu oszalałająca karierę, Jackson i Prince musieli — przynajmniej na pewien czas — uznać wyższość „niegrzecznego chłopca z robotniczych kręgów New Jersey”, który wygrał drogę z tanich barów w Asbury Park do tętniącej milionami watów sceny — jak pisał o nim „Newsweek”. Prince wydał wprawdzie w ubiegłym roku longplay „Around The World In A Day”, jednak nie powtórzył sukcesu sprzed dwóch lat. Michael Jackson z kolei odsunął się od estrady, unikał wywiadów i tylko piosenką „We Are The World”, którą napisał wspólnie z Lionelem Richie, dał znać swoim wielbicielom, że nadal komponuje i nagrywa. Jego zdjęcia ukazywały się w różnych czasopiśmie. Nawet wystawiono posąg Michaela Jacksona w muzeum figur woskowych Madame Tussaud, a w uroczystości odsłonięcia pomnika wzięło udział — oprócz samego piosenkarza — kilkanaście tysięcy, śpiewających i skandujących jego imię, fanów. Ale gdzie mu było do Springsteena...

podziwiać można przede wszystkim doskonałą pracę producenta, wykorzystującego w pełni niemal nieograniczone możliwości, jakie stwarza nowoczesne studio nagrań. Trudno jednak ocenić muzykę skomponowaną dla potrzeb filmu w oderwaniu od obrazu. Warto więc wstrzymać się z ostateczną oceną materiału z płyty „Parade” do czasu gdy „Under The Cherry Moon” pojawi się na ekranach kin.

Michael Jackson też przez ostatnie miesiące nie próżnował. Kolejny, po „Thrillerze”, longplay solowy tego piosenkarza ukazuje się wkrótce. Podobno producentem płyty jest ponownie Quincy Jones. Równocześnie odbędzie się premiera trójwymiarowego filmu z udziałem Jacksona, nad którym kończą pracę Francis Coppola i George Lucas. Będzie to 15-minutowa komedia z gatunku science-fiction zatytułowana „Captain EO”. Podobno Jackson — występujący w roli tytułowej — tańczy w filmie i śpiewa, a partnerami jego są m.in. Anje-

A jednak Springsteen

estrady, zwłaszcza że firmowany przez śpiewających braci album „Victory” był znacznie mniej udany od znakomitego „Thrillera”. Ale oto pojawił się w sklepach longplay „Born in the USA” i nagle wszyscy znaleźli się pod urokiem twórczości Bruce'a Springsteena.

„Sze!” — jak nazywają go wielbiciele — był ostatnio bezkonkurencyjny. Sprzedano już ponad 10 mln egzemplarzy jego najnowszego — siódmego — w dyskografii — albumu, a to co się działo na koncertach Springsteena można porównać z najlepszymi latami grupy The Beatles. Mimo że od dawna cieszy się dużą popularnością w USA, dopiero teraz stał się przedmiotem uwielbienia miłośników rocka niemal na całym świecie. Nie dlatego, że jego muzyka była kiedyś gorsza od tej, jaką zaprezentował słuchaczom na longplayu „Born in the USA”. Niektóre nagrania z wcześniejszych albumów były również udane, o czym mogą się przekonać obecnie fani podczas występów Springsteena — odbywających się najczęściej na wypełnionych do ostatniego miejsca, stadionach — podczas których 36-letni piosenkarz przedstawia bogaty zestaw kompozycji z różnych okresów twórczości. Ponad 4 godziny zapierającej dech muzyki rockowej, przeplatanej spokojniejszymi utworami, takimi jak na przykład „My Hometown”. Ale przeważa oczywiście tryskająca energią rock. Springsteen będzi w swoich ryczącach „maszynach dla samobójców”, gonząc miazgą. Opowiada o życiu w małym mieście, o młodych ludziach, którzy harują cały tydzień, aby w sobotę wieczorem, pożyczonym samochodem kraść bez celu po ulicach, gdy upalny wiatr targa włosy, a woń rozgrzanego asfaltu miesza się z zapachem perfum siedzącej obok dziewczyny. Możliwe że z powodu tekstów, pełnych melancholii i gorzkości, mówiących m.in. o wojnie i nędzy, utwory Springsteena nie od razu znalazły tak wielu zwolenników jak obecnie. Znacznie przyjemniej tańczyło się w dyskotekach przy beztroskich piosenkach dostarczanych masowo przez takich wykonawców, jak chociażby zespół The Jacksons. Dziś widocznie słuchaczom zmudziły się banalne kompozycje o miłości. A może Springsteen jest dla niektórych ucieleśnieniem „amerykańskiego snu”? Bo oto staje przy mikrofonie chłopak z gitarą, ubrany w sportową koszulkę i dżinsy — jakby sam był bohaterem napisanych przez siebie piosenek i śpiewa o tym, że włóczędzy, tacy jak on, urodzili się po to, aby uciekać, a 50.000 fanów — tyle podobno przyszło w ubiegłym roku na koncert w Paryżu — szaleje z zachwytem. Później wybiera z tłumy dziewczynę, zaprasza ją na estradę i razem tańczą do melodii „Dancing in the Dark”. Niepowtarzalny charyzmatyczny wykonawca i utalentowany twórca. Chyba raczej mieli ci, którzy w połowie lat siedemdziesiątych widzieli w Springsteenie „przyszłość rock and

rolla”, wróć mu oszalałająca karierę, Jackson i Prince musieli — przynajmniej na pewien czas — uznać wyższość „niegrzecznego chłopca z robotniczych kręgów New Jersey”, który wygrał drogę z tanich barów w Asbury Park do tętniącej milionami watów sceny — jak pisał o nim „Newsweek”. Prince wydał wprawdzie w ubiegłym roku longplay „Around The World In A Day”, jednak nie powtórzył sukcesu sprzed dwóch lat. Michael Jackson z kolei odsunął się od estrady, unikał wywiadów i tylko piosenką „We Are The World”, którą napisał wspólnie z Lionelem Richie, dał znać swoim wielbicielom, że nadal komponuje i nagrywa. Jego zdjęcia ukazywały się w różnych czasopiśmie. Nawet wystawiono posąg Michaela Jacksona w muzeum figur woskowych Madame Tussaud, a w uroczystości odsłonięcia pomnika wzięło udział — oprócz samego piosenkarza — kilkanaście tysięcy, śpiewających i skandujących jego imię, fanów. Ale gdzie mu było do Springsteena...

lica Huston oraz Dick Shawn. Tymczasem mówi się o kolejnym jego kontrakcie z koncertem Pepsi. Tym razem Jackson, za okragłą sumę 15 mln dolarów, miałby nagrać trzy telewizyjne reklamy dla znanego na całym świecie producenta napojów orzeźwiających.

Springsteen, Jackson i Prince należą dziś do czołowych wykonawców muzyki rozrywkowej. Zdobyta pozycja daje im dużą swobodę w kierowaniu artystyczną karierą. Próbuja swoich sił w innych dziedzinach sztuki, a także wykorzystują popularność w różnego rodzaju przedsięwzięciach reklamowych. Najbardziej wierny muzyce pozostał Springsteen i być może dlatego ten „najciężiej pracujący rockman” ma dziś tak wielu sympatyków. Dla przeciętnego melomana liczą się bowiem przede wszystkim interesujące nagrania płytowe oraz porównywalne muzyczne widowiska.

GRZEGORZ WALENDA



Springsteen na estradzie: „Najciężiej pracujący rockman”.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowa

WIERSZE KARMEŁKOWE

4 czerwca 1899 r. odbyła się we Lwowie zabawa ogrodowa, z której dochód przeznaczono na rzecz I Bezpłatnej Czytelni Kola Pań Towarzystwa Szkoły Ludowej. Atrakcją programu były okolicznościowe wiersze, nadesłane przez wybitnych poetów polskich. Stanowiły one fanaty na zorganizowanej podczas zabawy loterii. Oto kilka wierszy karmelkowych:

Pst.. Do uszka powiem Ci
Sekret bardzo wielki:

Moja muza posłała dziś
Także na karmelki...

(Zdzisław Dębicki)

Idę po koncept do głowy
Na jaki wiersz karmelkowy —
Trud to za wielki!
Nasz El...y jeden na świecie
Umiął nadobnej kobiecie
Sypać karmelki

(Jan Kasprzowicz)

O autograf się rozchodzi
Volla:

S. Przybyszewski.
I nawet:

Kraków, 26 maja 1899.

(Stanisław Przybyszewski)

Kasano mi wierszyki pisać na karmelki!
Któż to kasat? Kobiety. Dosyć. Boże wielki!
(Mikołaj Biernacki)

MIŁOSNY LIŚCIK PODKANCLERZANKI

Niedyskretni biografiści ostatniej wojewodziny wielkiej Heleny z Przedsiedleńskich Radziwiłłowej żony ks. Michała Radziwiłła zawdzięczamy możliwość zapoznania się z treścią czulego listu do rożamorzanej podkanclerzanki, która takimi słowami zwracała się do swego umiłowanego Michała Hieronima Radziwiłła, naówczas jeszcze młodzieńca litewskiego:

„U nas kwintecyjny obiad; tylko ciebie, Koszturo, braki wyjedziesz od siebie o czwartej i ja też będę latała po wszystkich ulicach, aby ciebie napotkać i gwałtem do siebie przyciągnąć. Adieu, kochało ciebie, dziękowało, że mnie kochało. Jesteś za to mój serdunt, duszeczko, bubusiu, dziadziusiu, życie moje! — Helenka malinka”.

ODPOWIEDZ ANNY

Raz spytałem się u Anny:

„Powiedz mi, co to są panny?”

„Powiedz, co to są dziewice?”

„Jaka to tym widzisz różnicę?”

„Na to mi odpowie Anna:

„Oto jest taka różnica,

„Ze każda zowie się panna,

„A nie każda jest dziewica”.

Ignacy Piotr Legatowicz (z rękopisu)

PRZYWILEJ DLA IWANA

Gdy Władysław IV bawił przez cztery dni w Różanie na zamku Kazimierza Sapiehy na Litwie, starożytny w domu sapiehyński puchar szklany Iwan zwany, odnowił pamięć pierwszej w domu sapiehyńskim bytności króla Zygmunta I i przypomniał imiennika swego owa ochota, z którą król przez kilka dni w domu swoim jak gościa przyjmował Iwan Sapieha wojewoda podlaski, który to puchar imieniem gospodarza nazwał król Zygmunt. Puchar większy szklany z prześlicznym rysunkiem na białym kryształ, figury podłożno okragłej, na kształt wazy, blisko garnca w sobie biorący, to jest Iwan; drugi puchar mniejszy figury owalnej, także ze ślicznym na czystym kryształ rysunkiem, nazywa się Iwanicha. Władysław IV dla uszanowania tego niepospolitego Bachusowego naczynia, osobliwym nadat Iwana przywilejem, wawując na zawsze, aby go pan podówczas chował zamkniętego w kredensie i nie wynosił na stół inaczey, tylko przy licznej asystencji i ustrojonej jak do parady liberii, przy brzmieniu wesołej muzyki i przy setnym ognia z armat dawaniu.

„Kurier Warszawski” 1827 nr 333.

ŚLUBNY PODARUNEK

W czasie powstania styczniowego Rosjanie okrutnie obchodzili się z pojmanymi do niewoli powstańcami. Zapelniali się więzienia, powstańców rozstrzeliwano, wieszano na szubienicach, zsyłano na katorgę. Niecodziennym wydarzeniem było uwolnienie więźnia od wyroku, ale i to czasem się zdarzało. Opowiada Bolesław Anc w pamiętniku „Z lat nadziei i walki 1861—1864” (Brody 1907).

W kilka dni potem Czengery przechodził przez Chełm i tamże zapocował. A było to w dniu, kiedy córka Eisenberga wychodziła za mąż. Czengery był na weselu i wyraził pannie młodej żal, że będąc w pochodzie, nie może jej żadnego dać podarunku.

Sprytne dziewczyna odpowiedziała:

— To niech mi pan general daruje jednego powstańca.

— Zgoda — odrzekł. — Wybierz tylko.

Panna młoda wymieniła brata mego Antoniego, a Czengery wyrwał kartkę z notatki i nie do zastępy swego, ale do swej żony napisał, aby więźnia wypuszczono.

Jeszcze tej samej nocy Eisenberg pojechał do Kielc, a nazajutrz strapionej matce oddał syna!

ŻYWE SŁOWO

Pismo i pismo w koło, a słowo ucieka,

Pismo jest śladem myśli, jak stopy

człowieka.

(Kazimierz Brodziński)

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Rukawow zabierał się do picia herbaty. Podniósł szklankę pod światło i niezadowolony zagryzł wargi.

— Herbatka coś mętnawa... Ach, te umeblowane pokoje! Już mi to bokiem wyłazi! Cieżko kawalerowi na świecie!

Skrzypnęły drzwi. Rukawow obejrzał się: zobaczył przytulonego do ściany i patrzącego na niego w milczeniu — Zaklatina.

— Witam, witam! — radośnie zawołał Rukawow. — Bardzo się cieszę... Proszę, pan pozwól daleko... Co w domu? Wszelki w porządku? Czym mogę panu służyć? Zaklatin odsunął się od ściany i zrobił krok naprzód.

— Chciałem panu tylko powiedzieć, Rukawow — trzymając się ręką za serce mówił Zaklatin — że takich ludzi jak pan należy zabijać bezlitośnie.

— Daję panu słowo honoru.

— Ach, te kobiety! — uśmiechnął się Rukawow, kręcąc głową. — Nigdy nie wiadomo czego można się po nich spodziewać. A w ogóle to niech pan nie myśli sobie, że dlatego dotąd wszystkiemu zaprzeczam, bo się panią boję. Po prostu nie mam zwyczaju chwalić się swymi sukcesami.

— Jeszcze by tego brakowało — zauważył ponuro Zaklatin. — Powtarzam panu, Rukawow, jeszcze raz: zabiję pana!

— Można pana o coś zapytać? — zagryzł wargi Rukawow. — Tylko proszę o szczerą odpowiedź.

— Słucham.

— Dlaczego chce pan mnie zabić?

— Bo rozbili pan moje życie. Całe me szczęście było w

Pietrowa całe życie była wierna swemu mężowi! Znała Sidorowa umarła, dochowując małżeńskości wierności. To prawda! Ale te przykłady wcale nie zaprzeczają moim słowom. Nawet, jeśli pan doda, że za żonami Pietrowa i Sidorowa wstąpiły się bezskutecznie dziesiątki wielbicieli, że słynny z podbojów serc niewieścił Iwanow proponował tym kobietom cały swój majątek, a filozof Karpow, chwytając się najrozsądniejszych sposobów, starał się na próżno udowodnić im niedorzeczność wierności, że bogacz Grigoriew na próżno mamił je swym przepychem... Zaklatin! To wszystko nie ma żadnego znaczenia. To tylko dlatego, że Sazonowa nie byłam!!!

— Kogo?... Sazonowa? — machinalnie zapytał Zaklatin.

— Tak jest. Sazonowa! A jego teraz wymyśliłem. Ale Sazonow istnieje, żyje niegdyś w każdym mieście: w Charkowie, Odesie, Kijowie, Nowoczerkasku.

— Nie — odparł Zaklatin zbolalym głosem. — Nie zabijaj pana. Ona jest bardziej winna...

— I ona nie jest winna... Kobiety są słabe, delikatne, głupie. I jakieś bez woli. Czasem mi ich żal. Przylgnie do człowieka całym sercem i już jest gotowa do bohaterstwa. Wszystkie jej myśli biegają do niego, do ukochanego, do Sazonowa... Zaklatin wypił herbatę, przeszedł się dwa razy po pokoju i zawrócił upadł twarzą na kanapę.

— Rukawow... — zagryzł zębami. — Ja cierpię. Niech mi pan powie — co robić?

Rukawow usiadł przy nim, jedną ręką położył mu na ramieniu, a drugą — delikatnie — głaskał go jak dziecko, po krótko ostrzyżonych włosach.

— Biedny jest pan, biedny... Żal mi pana szczerze. Ale nie musi pan nie robić. Zna pańska sprawa? Nie, to nie, bo jeśli nawet zostałaby przy panu, to jakie byłoby wasze życie? Jedną męką i nie więcej. Pan ją zdradził — zdradził, ona — zmiłowała pana... Niech się pan postara otrząsnąć, niech się pan spotyka z innymi kobietami. Przecież jest pan rozumny, inteligentny... O wiele bardziej interesujący ode mnie, przysięgam panu, mówię to serio... Cała moja przewaga nad panem płynie z faktu, że właśnie ja jestem Sazonow, którego licho przyniosło tu z Nowoczerkaska. Niech pan będzie spokojny, kochany... Spółka pan jeszcze uczuciowa, piękna kobieta, która pokocha pana całym sercem...

— Ja Nadii nigdy nie zapomnę!

— Zapomni pan, zapomni... — młokę przeciagał Rukawow. — To tylko teraz, kiedy przeżywa pan całą gorzką wstyd, rozczarowania i upokorzenia, wydaje się panu, że ten ból jest nie do zniesienia... Ale to z czasem minie. Jeśli jednak smutek i złość tak panu dokuczą, że nie będzie pan mógł tego znieść — trudno, niech pan mnie wtedy zabije. Tylko tak, na zdrowy rozum, to nie nie pomoże... Złość przecież pan do mnie nie żywi, a jeżeli nie ma złości — i przestępstwo nie jest potrzebne...

Zmierzył powoli obejmował pokój. W ciszy wieczoru dzwigały słowa:

— Niech pan nie płacze, kochany... Przecież jest pan dorosłym mężczyzną. Tylko kobieta może się umartwiać, szlochać z powodu utraty ukochanego — bo kobieta nie ma nic innego poza sercem. Ale my — mężczyźni, twórcy piękna życia, twórcy jego sensu, powinniśmy na rany swego serca patrzeć jak na małe, nie znaczące zadrapania, jak na przykład przy gołębim. Niech pan początkowo próbuję pić, niech pan wywoła gdzieś jakiś skandal, to zwróci pańską uwagę w inną stronę. I proszę nie patrzeć na cały świat, jak na niezręcznego sługę, nie umniejszającą dowodów swego pana i z tego powodu zasługującego już na potępienie. Zobaczyć pan, po roku pogodzi się pan ze swym nieszczęściem, po pięciu latach — zupełnie o tym zapomni, a na starość nie będzie pan nawet pamiętał imienia swej żony... Wiem, czy warto się gryźć z tego powodu? Chciałbym panu zabić... Niech się pan nie martwi — i tak umrę, i ona umrze, i pan... Wszyscy umrą... Potem nasze groby znikną z powierzchni ziemi — nowe życie zakwitnie nad nimi i nikt nie będzie wiedział o troju ludziach, o trzech nie znaczących robaczekach, które kiedyś martwiły się, kochały i cierpiały...

Rukawow mówił chaotycznie, jego słowa słabo oddawały myśli, ale ich ton był miękki, delikatny, współczujący. Smutne słowa płynęły po pokoju i mieszały się ze smutnym zmierzchem.

Zaklatin poleżał jeszcze chwilę z zamkniętymi oczyma, po czym głęboko westchnął, wstał z kanapy, objął Rukawowa i pocałował go w czoło — włożył po ciemku kapelusz na głowę i wyszedł.

Przełożył:
ADAM OCHOCKI

Z przygotowanego do druku zbioru, który ma się ukazać nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi.

Nieznany piewca Łodzi

W 1869 r. urodził się poeta, który dzięki szczególnym zamiłowaniom turystyczno-krajoznawczym zwiedził za młodu całą niemal Europę, a pod zaborem rosyjskim, Polskę. Władysław Karol, bo o nim mowa, nie znalazł uznania współczesnej mu krytyki literackiej, nikt też nie ocenił sprawiedliwie bogatej i wielostronnej spuścizny przedwcześnie zmarłego poety. Chyba dlatego brak o nim informacji w „Nowym Korbutie” — monumentalnym kompendium bibliograficznym naszych czasów. Podstawowym źródłem wiedzy o pisarzu pozostaje, jak dotąd, życiorys pisma Stanisława Kostaneckiego, zamieszczony w „Polskim słowniku biograficznym”, skąd czerpiemy niezbędne dane dotyczące życia i twórczości wspomnianego twórcy. Kilka wierszy Karolego, wśród nich „Wspomnienie karnawału”, napisane pod wpływem „Mazura kajdantarskiego” Ludwika Waryńskiego, ogłosił Paweł Hertz w swym „Zbiorze poetów polskich XIX w.” (Warszawa 1965).

Władysław Karol (1869—1913) był synem Aleksandra i wnukiem Jana Karolich, warszawskich fotografów, sam też po ukończeniu III Gimnazjum Filologicznego i Szkoły Handlowej Kronenbergera rozpoczął pracę jako zawodowy fotograf. W wieku 19 lat debiutował tomikiem „Pieśni młodości” (Warszawa 1883). Wiersze młodego poety miały wiele cech wspólnych z twórczością Syrokomli, Lenartowicza, Pola, Asnyka i Konopnickiej, choć nie brak w jego poezji pasji demaskatorskiej i potępienia sprawców ucisku i krzywdy społecznej. Pod wyraźnym wpływem „Pieśni o ziemi naszej” Wincentego Pola powstał gruntownie dziś zapomniany cykl wierszy Karolego „Kraj w pieśni”, poświęcony urokom ziemi ojczystej. Osobno ukazał się tylko niewielki fragment z cyklu „Kraj mój ukochany” (Warszawa 1913), stanowiący niejako wstęp do zamierzonej obszernej księgi poetyckich wrażeń i impresji z przedsięwziętych wędrowek po kraju. Zmarł 14 listopada 1913 r. w Warszawie, nie dokończywszy dzieła.

W swoich wędrowkach po kraju nie mógł poeta ominąć ówczesnego księstwa łowickiego, w granicach którego znajdował się sam Łódź z pobliską Arkadią oraz Skierniewice. Każde z tych miejscowości poświęcił Karol osobny wiersz, stanowiący dziś dokument literacki epoki, wart przypomnienia mimo oczywistych niedostatków, gdy idzie o środki artystycznego przekazu.

W samym Łowiczu, podziwiał poeta odwieczne zabytki: zamki, siedząc na przystanku, kolegiatę, w której złożono na wieczny odpoczynek zwłoki jedenastu najwyższych dostojników kościoła, zachwycał się zgiełkliwym tłumem przybyłych na jarmark łowicki okolicznych Księżaków.

Oczywiście, do młodocianych czytelników warszawskiego „Przeglądu Dzieci” adresowane wiersze wypaczały prawdziwy obraz życia ludu łowickiego, tworząc sielankowy obraz życia wsi łowickiej, tak odmienny od innych wierszy Karolego poruszających kwestie społeczne.

Z Łowicza powędrował poeta do pobliskiej Arkadii, gdzie podziwiał romantyczno-sentymentalny park założony w 1778 r., przez Helenę z Przedzięckich Radziwiłłową. Przechadzał się po słynnym, choć zaniedbanym parku, wstępując do Domku Gotyckiego, lub Świątyni Diany, gdzie wśród wielu zabytków przeszłości dostępnego:

...dzieła sztuki misternej roboty,
Udróżła tu, sfinksa olbrzymie figury,
A na suficie ślad fresku plafonu (...)

oczywiście plafonu „Jutrzenka”, wykonanego przez Jana Pawła Norbina, nadwornego malarza króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

W dalszej podróży odwiedził poeta Skierniewice:

Miedzy Łowiczem i Łowicą, a Warszawa,
Piękne i żywe widać okolice.
Wśród grodów starych piękne Skierniewice
Do wyróżnienia słuszne mają prawo.
W nich to pamiątek wiele spotkać można,
Które różniły czasów powstają,
Dawna siedziba prymasów zamożna,
Rządowy pałac i park okazały (...)
Miedzy licznymi księżmi prymasami,
Którzy tu żyli, trwając w służbie Pańskiej,
Widać przeróżnych — zastępieni sami,
Jak Oleśnicki, Łaski i Uchański.
Żył tu on w wielkiej ducha pracy,
Wiodła ich zagna do czynów podniebnych,
Ostatnim z nich był Krasiński Ignacy,
Znany i wielki myśliciel, poeta (...)

Potem już tylko patrzeć, jak na szlaku wędrowki, zapewne linia kolei żelaznej, przed oczami wędrowca pojawiła się

Łódź — wielkie miasto, ponad rzeką Łódka,
Ludności liczbą pierwsze po Warszawie (...)

I natychmiastowe, krótkie a zarazem syntetyczne spojrzenie w przeszłość:

Historię wzrostu ma piękna, choć krótka,
Przed laty wrostał nikt jej nie znał prawie.
W czasach niedawnych, w cichej okolicy,
Wzrosła w olbrzyma, wśród lasów prześlicznych,
Dawniej biskupi kujawskiej stolicy,
Łódź zaliczała do włości dziedzicznych.
Dziś zalicza do włości dziedzicznych.

Dalej następuje reporterski niemal obraz współczesnej poecie Łodzi pełnej blichtru i dynamiki towarzyszącej wzrostowi miasta:

Za mnóstwem gmachów, które lśnią bogato,
Widać las fabryk, wyniosłe kominy,
Tam praca kipi, przez zime i lato
I, snując przedzie, turkoczą maszyny.
Tam widać gmachy, ludzi pracy pełne,
Wszędzie trwają prace wzmoczone, zaciełka,
Jedni len tkają, a inni bawelne,
Piecze buchają, jak czeleście piekła.

Przelotnie tylko, mimochodem ociera się Karol o łódzki proletariatus:

Tum robotniczy, zwarty w wielkie masy,
Z fabryk na zmianę do domu pośpiesza.
Przy okazji padają stwierdzenia o sytuacji materialnej społeczeństwa Łodzi: „Jeden ma zyski, inny trudów wiele”, „bywają wypadki; Przy pracy jeden pał się śmierci w ramiona, Inny groź złożył i byt dziś ma głodki” oraz kapitalna w swej prostocie synteza: „Pełno tu bogactwa i pełno ubóstwa”.

Wreszcie, już okiem turysty dostrzega Karol, że w mieście są szkoły, teatry, szpitale, podziwia uroki parku w Helenowie — miejsce ulubione przez łodzian, cieszy go lokalna prasa, a potem już:

Kolej żelazna w różne strony zmierza
Z Łodzi w pobliskie, dalsze okolice,
Bliźko kominy wielkie widać Gziera
I blisko widać piękne Pabianice.
Fabryki liczne mają te dwa grody,
Znane są w kraju już staraniem swoim,
Z Łodzią olbrzymią pragną iść w zawody
Pracą fabryczną i szybkim rozwojem.

Wiersz Władysława Karolego, zamieszczony w 4 numerze warszawskiego „Przeglądu Dzieci” z 15 (28) stycznia 1905 r., jest najwcześniejszym, a zarazem najobszerniejszym znanym mi poetyckim opisem miasta i choć pod względem artystycznym pozostawia wiele do życzenia, to przecież wart jest przypomnienia w 80 lat po pierwszej publikacji prasowej.

ANDRZEJ KEMPA

ARKADIUSZ AWERCZENKO

Sazonow

tośnie, jak wściekle psy! I kłose się na Boga — ja pana zabiję!

Rukawow odstawił szklankę. Brwi jego zjeżyły się.

— Niech pan posłucha, Zaklatin... Nie wiem na jakim to uległ pan pomieszczeniu zmystów i jakie bzdury zaległy się panu w chorej głowie. Ale o jedno proszę: niech pan się zastanowi nad tym co mówię! Nawet w ataku gniewu są słowa, których się później żałuje przez całe życie. Niech pan słucha. O co chodzi?

— Rukawow! Pan mnie zdumiewał

— To pan mnie zdumiewa. Naprawdę pan herbaty?

— Rukawow! Ostrzegam pana!

— Dobrze — uśmiechnął się Rukawow. — Tylko proszę powiedzieć przed czym i dlaczego?

Zaklatin przechylił głowę i przytrzymując się poręczy krzesła wyrzucił z siebie, akcentując każde słowo:

— Dowiedziałem się, że łączą pana bliskie stosunki z moją żoną, Nadeżdą Pietrowną...

— Wie pan, bywają kłamstwa śmieszne, straszne i głupie. To co pan mówi, Zaklatin to kłamstwo tej trzeciej kategorii... Rukawow znowu zabrał się do picia herbaty i mieszał cukier, patrząc chłodnym wzrokiem na Zaklatina, którego twarz była biała, wykrzywiona złością.

— To nie kłamstwo! Gdy wyjechałem do Moskwy, widziałem pana wychodzącego od mojej żony o ósmej ranie!

— I to wszystko? Niech się pan wstydi! Rzeczywiście wychodził o ósmej rano z pańskiego mieszkania, gdy był pan w Moskwie, ale wszedłem tam za kwadrans ósma. Zostałem poprzedniego wieczoru łaskę i przyszedłem po nią. Jestem przekonany, że Nadeжда Pietrowna spała w tym czasie snem sprawiedliwej...

— W toalecie żony znalazłem listki... Pański listek do niej. Wprawdzie nie ma tam czarno na białym dowodu zdrady, ale wystarczy mi, że zwraca się pan do niej per „ty”!

— I cóż w tym strasznego? — zdziwił się Rukawow. — Kiedyś, tak z żartów, powiedziałem pana żonie „ty” i od tam, kiedy chcę ją zdenerwować zwracam się do niej w tej formie. Bardzo mnie to bawi, gdy się dąsa...

— Rukawow! — odezwał się ledwo dosłyszalnym głosem Zaklatin, spuszczając oczy. — Dziś rano żona sama mi powiedziała, że jest pan jej kochankiem...

Rukawow uniósł jedną brew.

— Pap... może na to przyśiąć?

tej kobiecie — pan mi je za brał!

Rukawow zamyslił się.

— A więc, Zaklatin... Postaram się pana przekonać, że nie ma pan absolutnie racji. Nie dlatego, żebym chciał ratować swe życie... Rozumiem — głupio byłoby z mej strony płakać i krzyżować, chowając się za krzesło: ach, niech mnie pan nie zabija, ach, niech mnie pan oszczędzi! Ostatecznie każdy musi kiedyś umrzeć. Nie będę też wzywał pomocy... nawet nie spróbuję wydstać się z pokoju. Może mnie pan zabić każdej chwili. Niemniej jeszcze raz chcę pana zapytać: czym ja panu zawiniłem?

— Nadużył pan mego zaufania! Zabrał mi pan żonę!

Głos Zaklatina dźwięczał uroczyście, głośno.

— Nigdy panu żony nie zabierałem. To była jej nieprzymuszona wola.

— Gdyby nie pan, byłbyśm jak dawniej szczęśliwi.

— A jaką ma pan gwarancję, że zamiast mnie nie zjawiliby się ktoś inny?

— Pan ją obraża!

— Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Mówiąc o innym, chciałem tylko podkreślić, że jestem zwykłym śmiertelnikiem — ani się nie odznaczam jakimś talentem, ani urodą, ot, przeciętny, tuzinkowy by człowiek. Chyba nie będzie pan protestował i dowodził, że jestem nadzwyczajny, oszałamiający, słowny, że żadna kobieta nie potrafi mi się oprzeć. Człowiekiem, którego chce się zabić, nie prawi się komplementów...

— Niech będzie, że jest pan najzwyklejszym na świecie człowiekiem. I co z tego?

— To, że takich ludzi jak ja są tysiące, miliony. Chyba nie będzie ich pan wszystkich zabijał?

— Przecież oni nie są kochankami mojej żony!

— Jeżeli jeden zwykły człowiek jest jej kochankiem, to dlaczego inny nie mógłby być? Loteria!

— W której maż zawsze przegrywa — gorzko uśmiechnął się Zaklatin.

— Niech się pan pocieszy! Jeżeli ja się ożenię — też przegram.

— A jeżeli pan nie przegra? To cynizm tak rozumować. Czyżby doprawdy nie mogło być małżeństwa bez zdrady? Rukawow podniósł się z krzesła i wyciągając przed siebie rękę mówił szybko, w umiesieniu:

— Nie! Nie ma trwałej miłości! Nie ma wierności w małżeństwie. Ja wiem, że się pan z tym nie zgodzi i przytoczy przykłady. Powie pan: żona

— Jaki Sazonow?

— Oto jaki: w Moskwie mieszkają małżonkowie Wasiliew. Czterdzieli lat przeżyli idealnie, światła bożego poza sobą nie widząc. Mimo to nie może pan Zaklatin, twierdzić, że ta Wasiliewa była idealnie wierną żoną. Zalecał się do niej mnóstwo przystojnych mężczyzn, ale ona nie zdradzała męża. Czy zastanowił się pan, dlaczego była mu wierna do grobowej deski? Czy dlatego, że nie dopuszczała do siebie myśli o zdradzie? Nie! Nie, Zaklatin! Po prostu dlatego, że Sazonow przebywał w tym czasie w Nowoczerkasku. A wystarczyłoby tylko, żeby przyjechał do Moskwy, żeby przypadkowo zetknął się z żoną Wasiliewą — i szczęście męża rozpadłoby się, jak domek z kart. Wierzę panu, że — czy można poważnie traktować wierność najlepszej z kobiet, jeśli ta wierność zależy tylko od przyjazdu Sazonowa z Nowoczerkaska?

— W takim razie wracamy do tego, co powiedziałem na początku: Sazonowych trzeba zabijać jak wściekle psy!

— Wobec tego niech i pan się strzeże. Pana również należałoby zabić.

— Mnie? A to dlaczego?

— Dlatego, że pan też jest Sazonowem dla jakiejś kobiety, przebywającej, powiedzmy, w Kursku czy Omsku. Być może nigdy się pan z nią nie spotka — tym lepiej dla jej męża. Ale mimo to — jest pan Sazonowem!

2.

Zaklatin oparł się łokciami o stół, położył głowę na rękach i jęczał:

— Jakże jest wyjście z tej sytuacji?... Boże, jakie jest wyjście?

— Niech się pan uspokoi — rzekł współczująco Rukawow, gładząc go po plecach. — Naprawdę pan herbaty?

— Podziwiam pańską zimną krew!

— Przecież herbaty może się pan napić... Była mętnawa, ale już się odstała. Należy, dobrze? — pan należy.

— Boże mój, Boże... Niech pan należy.

— Dwa kawałki cukru?

— Trzy.

— Lubi pan mocną herbatę?

— Rukawow! Co ja mam robić? Jakże jest wyjście z tej sytuacji?

— Pan miał wyjście? — zauważył Rukawow. — Pamięta pan, gdy tylko pan wszedł, powiedział pan, że mnie zabije, jak wściekłego psa?

Tym gorzej, że każdy ma rację

Okres urlopowego szczytu dobiega już końca i temat właściwie stracił na aktualności aż do przyszłych wakacji. Mimo to warto się nim zająć właśnie teraz — aby za następne dziesięć miesięcy nie powtórzyła się sytuacja, którą popularny tygodnik „Veto” w nr. 33 z 17 sierpnia br. określa jako „skandal z prasą”.

Chodzi mianowicie o to, że wydawnictwa redakcji, przebywające na wczasach w Kołobrzegu, Lebie, Swinoujściu, Sopocie i Międzyzdrojach oświadczyły, na podstawie uważnych, bynajmniej nie wyrwykowych obserwacji stwierdziły iż „w lipcu największe kolejką były nie za mlekiem, jajkami czy pieczywem, lecz przed kioskami „Ruchu” — PO PRASĘ”. Tymczasem prasy brakowało sprzedając tak popularnych tytułów, jak „Kobieta i Życie”, „Przyjaciółka” czy „Przekrój” kończyła się — z powodu braku towaru — już po półgodzinie, na nie więcej niż trzy godziny wystarczało dzienników, w tym także „Trybuna Ludu”, a po południu nie można było dostać nawet takich czasopism, jak „Odrodzenie” czy „Kultura”, które poza sezonem urlopowym w centrum kraju sprzedają się raczej trudno. Po prostu — nie było żadnej gazety.

Obserwacje takie poczynili nie tylko dziennikarze „Veto”. Identyczne mają pracownicy innych redakcji, którzy w lipcu i w pierwszej połowie sierpnia przebywali w miejscowościach wypoczynkowych, potwierdzając je również sygnały od wielu czytelników.

Z drugiej strony wiadomo — a fakt ten spędza sen z oczu niemal wszystkim redaktorom naczelnym i dyrektorom wydawnictw prasowych — że w okresie wakacyjnym zawsze (a w roku bieżącym zjawisko to wystąpiło ze szczególną ostrością) wzrasta ilość zwrotów. Dotyczy to nie tylko tytułów o niskim nakładzie, adresowanych do wąskiego grona odbiorców czy w ogóle mało „chodliwych”, lecz także popularnych dzienników i poszukiwanych tygodników, jak choćby właśnie „Veto”.

A więc — licząc globalnie, w skali kraju — prasa była. Nie było jej jednak tam, gdzie byli czytelnicy, gdzie mogłaby i powinna zostać sprzedana.

Tę właśnie sytuację — odciecia czytelników na okres urlopu od ich ulubionych tytułów, od dostępu do wszelkiego rodzaju informacji i rozrywki — określa redakcja „Veto” w artykule A. Nalecz-Jaweckiego pt. „Kupić prasę” jako skandal i to zarówno natury ekonomicznej (ogromne straty z powodu zwiększonych zwrotów) jak i polityczno-propagandowej.

Dlaczego tak się stało, kto i czego zaniedbał lub nie przewidział w porę, co zrobić, aby w następnym sezonie urlopowym sytuacja taka nie powtórzyła się? O odpowiedź na te pytania poprosiła redakcja „Veto” dyrektorów Przedsiębiorstw Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch” z Gdańska, Koszalin i Szczecina, organizując dyskusję w lokalu redakcyjnym.

Choć zaproszenie na dyskusję utrzymane było w tonie dość kategorycznym („prosimy traktować to nie jako zaproszenie, na które się łaskawie przyjdzie albo i nie — tylko JAKO WEZWANIE. I de facto nie na dyskusję, ale na usprawiedliwienie się i wytłumaczenie przyczyn tej wpadki”) dyrektorzy potraktowali je poważnie i do Warszawy przybyli, niektórzy wraz z zastępcami.

Szczecin reprezentowali Jan Kania i Miron Zwarycz, Gdańsk — Edward Derengowski i Andrzej Staszewicz, Koszalin — Romuald Kuemera, Z Zarządu Głównego RSW przybył dyrektor Ryszard Podgórski.

Ponadto w dyskusji uczestniczyli, żywo zainteresowani tematem, dziennikarze z wielu redakcji.

ZARZUTY I PRETENSJE

Mówili o nich, w pierwszej części spotkania, przedstawiciele redakcji. Wiele powtarzało się we wszystkich wypowiedziach, a należy z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że takie same uwagi miałby dziennikarze (nawet niekoniecznie najlepiej zorientowani w sytuacji redaktorzy naczelni) z innych gazet i czasopism o zasięgu ogólnopolskim lub terenowym. A więc:

— Zbyt mała ilość gazet — wszystkich tytułów — w miejscowościach wypoczynkowych w sezonie urlopowym.

— Absolutna nieobecność niektórych tytułów (dotyczy to zwłaszcza czasopism o zasięgu regionalnym, także dzienników wojewódzkich) w wielu punktach sprzedaży, zwłaszcza w miejscowościach małych, które jednak na czas lata wielokrotnie zwiększają swą liczebność i w których niejednokrotnie zlokalizowane są domy wczasowe, rozmaite instytucje, w których przebywają wczasowicze z jakiegokolwiek terenu, przyzwyczajeni do „swoich” terenowych gazet i czasopism.

— Ogromne opóźnienia w dostarczaniu gazet do kiosków. Przypadki, gdy poranne dzienniki pokazywały się dopiero koło południa, a bywało, że i na drugi dzień, nie należały do rzadkości. Podobnie tygodniki — np. czasopismo, ukazujące się w Warszawie w czwartek docierało do kiosku Ruchu w miejscowości nadmorskiej dopiero we wtorek lub środę następnego tygodnia.

— Niemożność jakiegokolwiek interwencji u sprzedawcy w kiosku. Na wszystkie propozycje, aby zamówić większą ilość jakiegos tytułu, wszyscy odpowiadali wyjaśnieniem, że „nikt nie słucha sugestii sprzedawcy, każdy kiosk dostaje taką ilość, jaką wyznaczono dla niego w odpowiednim dziale PUPiK, czasem jest to o wiele za mało, a czasem za dużo. W każdym razie sprzedawcy nie mają żadnego wpływu na wielkość tzw. nadziałów”.

— Bardzo mała, niemal żadna, operatywność przedsiębiorstwa w dokonywaniu tzw. przerzutów, czyli zabierania gazet z tych kiosków, w których nie zostały sprzedane w odpowiednim czasie i przekazywania ich tam, gdzie tych samych tytułów już brakuje.

— Brak odpowiednich bodźców natury ekonomicznej, sprawiających, że większy się zainteresowanie sprzedawców w kioskach sprzedają właśnie prasy. Jak dotąd — główne możliwości zwiększania swoich dochodów, opartych na systemie prowizyjnym, mają oni poprzez intensyfikację sprzedaży proszków do prania, zabawek i wielu innych artykułów. W efekcie nie są zadowoleni z zainteresowaniem klientów sprzedawanych gazet, tym bardziej, że jest to trudniejsze niż handel np. środkami do utrzymania czystości.

— Niewłaściwe formy handlu prasą. Często dostarczone egzemplarze tkwią pod ladą — bynajmniej nie dlatego, że sprzedawca odczuł je dla znajomych — lub, zwinęte tak, że nawet nie widać tytułu, gdzieś między pudełkami klocków a olejkami do opalania. Właściwa ekspozycja ważna jest zwłaszcza w przypadku czasopism mniej popularnych, ale w obecnych warunkach nawet tytuł bardzo poszukiwany może pozostać nie zauważony przez czytelnika i powiększyć liczbę zwrotów.

Ten zarzut wiąże się z poprzednim, małego zainteresowania sprzedawcy prasą, a oba — dotyczą całej sieci kolportażu i całego roku, nie odnoszą się jedynie do wakacji i rejonów wczasowych.

— Brak ze strony PUPiK właściwego rozeznania, dotyczącego możliwości sprzedaży poszczególnych tytułów w określonych, małych rejonach, brak odpowiednich analiz, które by takie rozeznanie dawały.

Analizy, prowadzone systematycznie przez PUPiK dotyczą przeważnie całych, obsługiwanych przez przedsiębiorstwo rejonów, co daje fałszywy obraz sytuacji. Jeśli np. w województwie koszalińskim w lipcu jeden czy drugi tytuł miał spore zwroty, nie oznacza to wcale, że było go za dużo, lecz że sprzedawany był nie w tych miejscowościach, gdzie popyt był największy.

— Brak systematycznie czy nawet wyrwykowo prowadzonych analiz popytu — dane na ten temat zbierać powinni przede wszystkim kioskarze, którzy na bieżąco i stale obserwują, jak kształtuje się zapotrzebowanie na poszczególne gazety.

— Przekazywanie do redakcji i wydawnictw danych o sprzedaży i zwrotach z dużym opóźnieniem, przeważnie nie mniejszym niż dwa miesiące. Tymczasem jedynie bieżąca informacja daje redakcjom szansę szybkiej (a więc jedynie właściwej) reakcji na te czynniki, które zmniejszają bądź zwiększają popyt na gazety, co m.in. znajduje swoje odbicie właśnie w ilości sprzedanych egzemplarzy i zwrotów. Podobnie — informacja taka ma ogromne znaczenie dla wydawcy, decydującego o zmianach wysokości nakładu.

— Brak umiejętności przewidywania sezonowych zmian popytu na prasę i niezbyt usilne starania o pozyskanie dodatkowych ilości gazet i czasopism na okres urlopowego szczytu.

WYJAŚNIENIA I ODPOWIEDZI

Jest to, jak widać, dosyć imponująca (lecz czy wyczerpująca?) lista negatywów, jakie w dziedzinie kolportażu widzą redakcje. Czy wszystkie te uwagi i zastrzeżenia są słuszne? Niewątpliwie tak. Nie zawsze jednak winę całkowitą lub częściową za ich występowanie ponosi PUPiK. Dlatego też i wyjaśnienia drugiej strony zawierały także sporą listę uwag krytycznych i postulatów pod adresem wydawców i redakcji. A więc:

— Uwaga generalna: Polska pod względem nasycenia w prasę znajduje się na szarym końcu wśród krajów europejskich i tak jest od wielu lat. Przyczyny tego zjawiska są złożone i wymagałyby osobnego, obszernego omówienia, wykraczającego poza temat dyskusji, a jego skutki — to m.in. niemożliwość określenia rzeczywistych rozmiarów popytu. Wiadomo bowiem, jakie są zwroty różnych tytułów z poszczególnych rejonów, nie wiadomo natomiast — i tego właśnie nie sposób praktycznie wyliczyć — ile jeszcze gazet można by sprzedać tam, gdzie szybko znikają z kiosków.

— Niski, wynoszący w wielu przypadkach zaledwie 5 proc. limit zwrotów, ustalany przez wydawcę, co powoduje znaczne trudności, zwłaszcza w wypromowaniu czasopism nowych, nie mających jeszcze stałej grupy odbiorców. Obawa przed stratami finansowymi hamuje niejednokrotnie różne poczynania, które w dłuższym okresie przyniosłyby pożądane skutki w postaci zwiększenia popytności gazet.

— Nuisawki nakładowe — zmniejszanie radykalne nakładów w tym także czasopism bardzo poszukiwanych, bo akurat brakuje papieru, a następnie — gwałtowny wzrost nakładu, bo papier się znalazł. Tym sposobem wiele tytułów traci bezpowrotnie część czytelników, straty ponoszą i wydawcy, i Ruch.

— Trudności w porozumieniu się z wydawcami co do wielkości nadziałów, występują dosyć często. O ile, w przypadku ich zwiększania PUPiK ma jeszcze jakiś wpływ, o tyle przy zmniejszaniu na ogół nie jest pytany o zdanie przez wydawcę.

— Często występują zakłócenia harmonogramu druku i opóźnienia w dostawach gazet do innych rejonów. Dla przykładu — jeśli „Trybuna Ludu” czy „Sztandar Młodych” (gazety i tak antydatowane w terenie) zamiast trafić do Szczecina wieczorem (tylko w ten sposób mogą zostać rozwieszone, do sieci punktów sprzedaży następnego dnia rano, wraz z gazetami szczecińskimi), dostarczane są następnego dnia koło południa, to, z uwagi na brak połączeń, do kiosków w małych miejscowościach dotrą z opóźnieniem dwudniowym, a do niektórych miejscowości wcale. Prawdopodobieństwo, że nie zostaną sprzedane, jest wtedy ogromne.

— Niezbyt wielka ze strony wydawnictw i redakcji chęć współdziałania w ustalaniu geografii sprzedaży konkretnych tytułów. Ustalenia takie powinny dotyczyć nie do całych województw czy ich rejonów, ale dotyczyć szczegółów — np. dzielnic miast czy wręcz poszczególnych kiosków. Zwiększa chęć do udziału redakcji, które przecież najlepiej wiedzą, do jakiej grupy czytelników adresowane jest pismo i czy wobec tego należy dostarczać je w większych ilościach do punktów w pobliżu uczelni — czy też dużych zakładów przemysłowych itp.

— Występujące sprzeczności między interesem propagandowym a interesem ekonomicznym przedsiębiorstwa. Np. przerzucanie kilku czy kilkunastu egzemplarzy gazet z kiosku, w którym zalegały do innego, gdzie już ich brakuje, jest propagandowo uzasadnione, ekonomicznie — bez sensu, zwiększałoby bowiem kolosalnie wydatki przedsiębiorstwa, które przecież musi wypracować zysk.

— I wreszcie sprawy, o których usłyszeć można w każdym niemal przedsiębiorstwie: brak ludzi do pracy, ogromna fluktuacja wśród pracowników ekspedycji, a zwłaszcza wśród sprzedawców w kioskach, wynosząca często ponad 50 proc. rocznie, brak dostatecznej ilości środków transportu i niewielkie perspektywy na poprawę tej sytuacji.

KTO ZIE TĘ ŻABĘ?

Obie strony mają swoje uzasadnione racje. Gdyby w dyskusji uczestniczyli wydawcy — niewątpliwie i oni miałby równie wiele uwag pod adresem redakcji i kolporterów, mogłoby wymienić także sporo czynników obiektywnych i pozorne obiektywnych, utrudniających ich pracę. W efekcie jednak — z gazetami, z rynkiem czytelnictwa dzieje się u nas źle i coraz gorzej. Sytuacja przypomina trochę błędne koło — ci czytelnicy, którzy mają ochotę czytać, niejednokrotnie nie mogą gazety dostać lub też połączone to jest z dużymi trudnościami, a z drugiej strony rosną zwroty. Wszystkich tytułów.

Między zaangażowanymi w proces powstawania i dostarczania gazet na rynek instytucjami występują sprzeczności interesów, a co najmniej brak należytego porozumienia, choć przecież wszystkie one — redakcje, drukarnie, wydawnictwa i Ruch — stanowią część składową tej samej firmy, jaką jest Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza.

Wyraźnie widać to na szczycie, w Zarządzie Głównym RSW. W terenie jednak, podzielone na przedsiębiorstwa z różnymi dyrekcjami, każde na własnym rozrachunku, nie są partnerami — lecz niemalże antagonistami.

Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że tak do końca nie wiadomo na pewno, czym właściwie są gazety: towaram rynkowym czy też instrumentem propagandowym, czy wobec tego należy je przede wszystkim sprzedawać, czy też upowszechniać (przedsiębiorstwo kolportujące ma zresztą w nazwie wpisany obowiązek upowszechniania prasy — woli jednak sprzedawać, bo... i tu działa reforma gospodarcza).

Zdecydowanie się na jedną z tych koncepcji pociągnęłoby ra-

dykalne zmiany. Bo jeśli towar rynkowy — to dążenie do maksymalnego zwiększania nakładów tych gazet, które „idą”, sprzyjanie gustom wszystkich czytelników, nawet tych o niezbyt wyrafinowanych potrzebach, ograniczanie rejonu rozchodzenia się poszczególnych gazet do najbliższych rejonów, przy jednoczesnym wyperaniu z nich konkurencji, aby zmniejszać koszty transportu itp.

Jeśli natomiast instrument propagandowy — to upowszechniać bez względu na koszty. Zwiększać nakłady tak, aby każdy i zawsze mógł kupić gazetę, a także, aby była ona tam, gdzie z góry wiadomo, iż nie zostanie kupiona w ciągu najbliższych kilku lat. Dotować — bez względu na straty własne — tytuły rozchodzące się marnie, bo przecież ma ogół nie jest to równoznaczne z faktem, że są to gazety niedobre. Obniżać ceny prasy, aby nawet emerytów czy rodziny wielodzietne stać było na kupno co najmniej dwóch dzienników i kilku tygodników. „Osa- czyć” ludzi taką ilością gazet i w tylu punktach, aby najbar- dziej niechętni czytelnictwu, w końcu jakiegoś zaczęli kupować itp.

Są to jednak rozważania czysto teoretyczne. Żadne z tych rozwiązań nie jest praktycznie w czystej formie możliwe i stosowane. Nawet nastawione na zysk za wszelką cenę zachodnie koncerny obok gazet przynoszących kolosalne zyski wydają i takie, do których trzeba dopłacać.

W naszej sytuacji rzeczą niezwykle ważną jest znalezienie złotego środka między chęcią zysku — bynajmniej nie wstydliwą — a realizacją celów propagandowych. Obecnie bowiem wydaje się, że brak jest spójnego systemu łączącego w jedno interesy redakcji, wydawnictw, zakładów graficznych i kolporterów z interesami i oczekiwaniami odbiorców i potencjalnych odbiorców słowa drukowanego, brak odpowiednich działań centrum zmierzających do ujednolicenia tych interesów w skali kraju.

A na zakończenie anegdota (prawdziwa) o tym, jak wszyscy mają rację, lecz nie z tego, prócz szkody, nie wynika.

Redaktor naczelny „Veto” A. Nalecz-Jawecki w czasie swego urlopu w Lebie pilnie śledził dostawy gazet do kiosku przy plaży. Ani razu nie zobaczył w nim tygodnika „Odrodzenie” — i trudno mu nie wierzyć, bowiem śledził pilnie. Przybyły na spotkanie w redakcji dyrektor PUPiK na podstawie przywiezionych dokumentów — którym także trzeba dać wiarę — stwierdził, że do tego właśnie kiosku regularnie dostarczano dwa egzemplarze „Odrodzenia” i... oba były zwracane. Więc co tu nie gra?

TERESA JERZYKOWSKA

Czy w „Ruchu” możliwy jest ruch?

Obserwowany ostatnio spadek nakładów pism i wzrost ilości nie sprzedanych egzemplarzy, co nazywa się „zwrotami”, ma kilka różnych przyczyn i wszystko wskazuje na to, że musi być poddany dokładnej i wszechstronnej analizie. Gazety, tygodniki, pisma ukazujące się w większym niż tydzień cyklu stały się towarem i takiego wymagają traktowania, niezależnie od tego, że równocześnie spełniają swoje funkcje polityczne, społeczne, ideologiczne, kulturalne. Czytelnikowi bowiem za każdym razem udaje się do kiosku „RUCHU” i tam za swoje pieniądze i z różnych potrzeb wyraża uznanie bądź brak uznania dla tego czy innego pisma. Nie ma u nas na przykład takiej formy sprzedaży, jak choćby przynoszenie porannych gazet wraz z mlekiem i bułeczkami, a prenumerata lubi się z zasady spóźniać. Jej zaletą jest tylko to, że w ogóle dostarcza pismo do domu, aczkolwiek bardzo niechętnie. Czytelnikowi — skoro już nauczył się czytać i nabrał nawyku regularnego czytania prasy i periodyków — nie pozostaje nic innego, jak tylko udać się do kiosku „RUCHU” i tam kupić to, czego akurat poszukuje. Bywały z tym różne kłopoty, ale ostatnio przestały być. W zasadzie niemal wszystko można dziś kupić bez większego trudu.

Nie będą ukrywać, że wpływ na taki stan, jaki jest obecnie ma też fakt, że rosną nam koszty utrzymania, że nie każdego dziś stać na kupowanie wszystkich gazet i czasopism, jakie chciałby kupić. Musi zatem dokonywać wyboru, a redakcje muszą się starać, aby ten wybór padł właśnie na przez nich redagowane pismo, a nie na żadne inne. Rosnie konkurencja. Może to wyjść tylko z korzyścią dla naszej propagandy, która znów niebezpiecznie wpada w szał.

Innym powodem jest lato. Latem zawsze spadają nakłady i rosną „zwroty”. Dzieje się tak dlatego między innymi, że u nas latem rusza z miejsc tłumnie cały niemal naród. Jedni jadą odpoczywać za granicę, inni nad morze, w góry, nad jeziora, pod gruszę, do rodziny, czy wręcz na własną działkę. Ale gazeta, tygodnik za nimi nie jedzie. Opowiadała mi koleżanka redakcyjna, która przez miesiąc była w Karwi, że gdyby jej co tydzień przysyłać 150 egzemplarzy „Ogłoszeń”, to stawałaby pod kioskiem „RUCH” i w pół godziny wszystko sprzedawała. Po oficjalnej cenie, oczywiście. Tytu było w Karwi łódzian. A gdzie ich nie było. Dlatego więc „RUCH” z województw nabrzączył nie jest tym zainteresowany?

Nasz rynek prasowy jest ściśle podzielony na rejonowy wpływów. „Ogłoszy” sprzedaje się głównie w Łodzi i okolicznych województwach. Inne oddziały „RUCHU” mają też swoje rejon i swoje pisma. Nie są zainteresowane tym, aby w ogóle sprzedawać prasę, ale są jedynie zainteresowane, aby sprzedawać swoją prasę. I tak w Bydgoszczy „Fakty”, w Gdańsku „Wybrzeże”, w Poznaniu „Wprost”, we Wrocławiu „Sprawy i Ludzie” i tak dalej i temu podobnie. A jak tygodnik zaczyna mieć trochę wyższe „zwroty”, to obniża się mu nakład i „wszystko gra”. Pozornie. Poza tym „RUCH” ma też swoje kłopoty i trudności. Kto ich dziś nie ma?

Klient „RUCHU” zna te trudności, styka się z nimi, kiedy staje przed zamkniętym kioskiem, albo biega w poszukiwaniu otwartego, bo chce coś kupić: gazetę, tygodnik, zapalki, proszek do prania, papierosy... Łódzki „RUCH” — posiadacz 623 kiosków — ma obecnie ich zamkniętych 185. W tym jest 41 nieczynnych kiosków w szkołach lub w zakładach pracy. W 1985 roku w tym czasie było zamkniętych 217 kiosków. Można powiedzieć, że jest lepiej niż było, choć nadal jest źle. Zamknięte naглуcho kioski można spotkać na przedmieściach Łodzi, jak i w centrum, choćby przy ulicy Piotrkowskiej.

Łódzki „RUCH” — i trzeba mu za to wyrazić wdzięczność — rozwiązał problem kiosków czynnych w wolne soboty i w niedzielę. Od 1 sierpnia 1986 roku w Łodzi w soboty i niedziele czynnych będzie 160 punktów sprzedaży „RUCHU”. Nie muszą to być zawsze te same kioski. Na przykład na rondzie lub przy dużym skrzyżowaniu może to być raz otwarty jeden kiosk, a następnym razem inny. Chodzi o to, aby w ogóle był otwarty kiosk. Dlatego w „RUCHU” mówią punkt a nie kiosk. Jak go zwał, tak go zwał, ale ważne, aby w ogóle było gdzie kupić gazetę z soboty, zapalki, papierosy i tak dalej. Ważne, aby kiosk nie tylko był otwarty, ale miał też czym handlować. Aby nie było tak, że w zamkniętym kiosku niedaleko otwartego, leżą sterty gazet, a w otwartym nie ma nic. Ma być też informa-

cja o tym, gdzie i w jakich godzinach kiosk będą otwarte w soboty i niedziele. Za tę informację odpowiedzialne są rejonowe oddziały „RUCHU”. Do ostatniej soboty takiej informacji na Górnej nie widziałem.

Otwarte w soboty i niedziele kioski „RUCHU” nie rozwiązują jednak problemu sprzedaży prasy. Nie rozwiązują tego problemu dlatego, że nadal będą zamknięte kioski, bo nie ma ich tam, gdzie ich nie ma. W tej sytuacji wydaje się niezbędną weryfikację sieci kiosków. Otóż warto na przykład wziąć pod uwagę fakt, że latem i zimą, wiosną i jesienią, niezależnie od tego, czy ktoś wyjeżdża na weekend, czy nie, to ludzie przede wszystkim kupują w osiedlach. W osiedlach kupuje się więcej i częściej niż w centrum miasta. To po pierwsze. A po drugie — to dostrzeżone są, gdy w pobliżu jest kilka kiosków — i w dodatku dostrzeżone są, że one — ale jest zupełnie nie, kiedy na dość dużym obszarze miasta nie ma czynnych kiosków. Trzeba więc ustalić sieć kiosków tak, aby obsługiwała ona ludzi mniej więcej w jednakowy sposób. Wiem, że to łatwo napisać, gorzej zrobić, ale skończyły się już czasy, gdy czytelnik biegał za gazetą, dziś gazeta musi zacząć biegać za czytelnikiem.

Otóż problem sprzedaży prasy musi stać się wspólną sprawą trzech partnerów: redakcji, wydawnictwa i kolportażu. Do tej pory często bywało tak, że wprawdzie wszyscy trzej partnerzy interesują się sprzedażą, ale każdy oddzielnie. Redakcja na przykład na końcu dowiaduje się o zmniejszeniu nakładu, bo zdecydowali o tym wspólnie wydawca i kolporter.

Decydować o tym powinny zapadać w oparciu o możliwości dobre i szybko dostarczone trzem partnerom dane. Obecnie obowiązują takie praktyki, że na przykład redakcja dostaje dane z ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch” po... sześciu tygodniach od ukazania się numeru. Jeśli wystąpił przed 6 tygodniami niepokojące zwroty to redakcja może tylko nad tym zapłakać. Racjonalnego działania nie może podjąć, bo może ono być błędne. „RUCH” posiada wcześniej dane orientacyjne, niekompletne i te dane, odnoszące się do obszaru decydującego o nakładzie i sprzedaży powinny być podstawą wspólnej reakcji trzech partnerów: redakcji, wydawcy i kolportera.

Minął już czas, gdy wystarczyło gazety wyłożyć na ladę w kiosku, a część ich schować pod ladę. Dziś gazety trzeba eksponować, pokazywać, reklamować. W kioskach „RUCH” nadal wykłada się gazety tak, jak wykładało się przed laty. Są od tej reguły nieliczne wyjątki, ale one tylko potwierdzają regułę. Dziś czytelnik, jeśli decyduje się wydać pieniądze, to chce wiedzieć, na co je wydaje. Chce mieć pewność, że nie „wyrzuci ich w błoto”. Trzeba mu więc dostarczyć informację o tym, co znajdzie dziś w piśmie. Z gazetami jest to sprawa trudna, z tygodnikami — dużo łatwiejsza. O tym, co przyniesie, tygodnik może informować prasa codzienna, radio, telewizja. Na zasadzie wzajemnej wymiany usług: prasa informuje o programie telewizji i radia, a telewizja i radio — o zawartości tygodników. Szybko, sprawnie i we właściwym czasie.

Redakcja, wydawca i kolporter wspólnie muszą zastanawiać się nad „geografią nadzioru” — tak to się nazywa w kolporterskim żargonie. Ludzie lubią czytać o tym, co się wokół nich dzieje, jeśli na dodatek występują tam ich znajomi. Jeśli na przykład „Odgłosy” publikują cykl: „Nasz Belchatów”, to trzeba zainteresować się sprzedażą pisma w Belchatowie. A może dać go tam więcej? Podobnie w innych wypadkach. Ale to nie może być tylko sprawa redakcji czy wydawcy, czy samego kolportera. To musi być wspólna sprawa! Należy analizować „politykę nadzioru” i dostosowywać ją do potrzeb.

Gazety i czasopisma nie mogą być sprzedawane tylko w kioskach. Trzeba szukać innych form sprzedaży. Łódzki „RUCH” ma na przykład umowę z Centralą Nasienną, która dodatkowo sprzedaje też gazety. Robią to niektóre sklepy spożywcze na wsi. A gdyby spróbować zainteresować sprzedażą gazet szatniarzy w kawiarniach i restauracjach. Spotykam czasem chłopców sprzedających w restauracjach (drożej oczywiście) „Express Ilustrowany”. Jeśli oni mogą, to dlaczego inni nie?

Ważną sprawą jest dotarcie do gazet i pismami do ludzi leżących w szpitalach. Są tam kioski, ale one też czekają aż pacjent przyjdzie do kiosku „RUCH” po gazetę lub czasopismo. A gdy jest obłożnie chory? Gdy nie może chodzić? Dlaczego gazeta lub czasopismo nie ma przyjechać do niego, do łóżka? Istnieje wiele sposobów ożywienia „RUCHU”, zmniejszenia sposobów jego pracy, sposobów myślenia o sprzedawaniu gazet i czasopism.

Stanie się to jednak pod warunkiem, kiedy trzej partnerzy w RSW: redakcja, wydawca i sprzedawca zaczęli wspólnie o tym myśleć i działać, kiedy zrozumiałą dla wszystkich stanie się zasada, że na moment dotarcia z gazetą czy czasopismem do czytelnika składa się wysiłek redakcji, drukarni, wydawcy, sprzedawcy i skończyły się już czasy, kiedy można było działać oddzielnie. Dziś trzeba uczyć się trudnej sztuki współpracy, współdziałania, współodpowiedzialności! Innej drogi nie widzę.

Najsmutniejszą jest to, że firma o nazwie „RUCH” stała się taka nieruchawa, statyczna, że mało w niej ruchu. Wcale nie uważam, że redakcja i wydawca są tacy znów ruchliwi. Ale mogą i muszą się stać — we własnym i czytelnika interesie — gdy zaczęta współpracować, gdy mają na siebie wpływać i nie unikać krytyki, nawet wtedy, gdy ma krytyka być pożądana. Taka już jej właściwość. Ale nowe zawsze się rodzi w bólach, a nam potrzeba nowego sposobu myślenia o redagowaniu, wspomaganiu i sprzedawaniu gazet i czasopism.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„LEKCJA OBYWATELSKIEGO” — INACZEJ

W odpowiedzi na artykuł redaktora R. Kubiaka zamieszczony w „Odgłosach” nr 32 z 9.VIII.1986 r. zatytułowany „Lekcja obywatelskiego” dotyczący I turnusu kolonii letnich w Przedborzu informujemy, że treść w nim zawarta jest niezgodna z rzeczywistością, a osoby szkolone bezpodstawnie. Włożono w nasze usta słowa nigdy przez nas nie wypowiedziane.

Dzieci (o których mówi artykuł): zastępcę kierownika, wychowawców i pielęgniarki zgłoszone były u organizatora kolonii piśmiennym wraz z akcesem pracy i zapłaconym wyżywieniem w wysokości 4.653,— zł za 19 dni.

Natomiast słowa typu: „darmozjadów”, „złapać się na sępa” — dotyczyły 3-letniej córki kierownika, która stwierdziła, że do swojej dziewczynki nie zapłacił. Nie ma naszych dzieci, lecz dla tej kolonistki babcia — zarazem szefowa kuchni — przygotowywała specjalne posiłki. Ponadto na kolonijach przebywał wnuk intendenta nie przypisany do żadnej grupy.

Nie ma co się dziwić, że dzieci „przepadły za ugodami i młosem uszakiem” skoro nasza porcja wedliny to 2 plasterki cienkiej kiełbasy podawane rzadko, a i kotlet mielony stanowił rarytas. Na jakiej podstawie dietetycy „nakazali zmienić jadłospis przedawanym tuszczami”, skoro nawet ziemniaki były niekrawężone, a zielenina wykazywana tylko w raportach.

Jeżeli ktoś na kolonii „olewał pracę”, „leżał dykiem” to mąż kierowniczki, który teoretycznie pełnił funkcję: ratownika — inspektora w.f., pracownika gospodarczego, konserwatora. Aby wyminąć się od ciężkiej pracy — pilnowania „cudzych bachorów” zabroniono kąpieli w Pilicy, z uwagi na zanieczyszczenie, co okazało się nieprawdą. W sumie kąpieli w zanieczyszczonym kąpielisku odbyła się dwa razy, mimo słonecznej pogody i sprzyjających warunków.

R. Kubiak napisał, że „p. Włofmen” ponoć bardzo troszczył się o swoich nawet „od czasu do czasu pożyłacz ciężką koksu i było powieszane światło”. To może pobożne życzenia, ale niezgodne z rzeczywistością, bo dzieci z I turnusu nigdy w Przed-

borzu nie widzieli pryszniców na oczy. My jako kadra też nie. Kąpiele odbywały się owszem przy użyciu gumowego węża, zakończonego sitkiem od konewki i to nie dzięki gorliwości Pana Leszka lecz pomysłowości jednej z wychowawczyń, zapewne tej, której „za głupie 6 tys. zł, to się nawet nie opłaca wychodzić z domu”, ale wojować z prymitywnym myśleniem opłaca się.

Pewnego dnia na apelu wieczornym kierowniczka oznajmiła wszystkim, że następnego dnia ma być blysk, bo przyjeżdża Saneptid. Dzieci od samego rana chwyciły za swe małe zmiołki do podłogi. Zamiatały, szorowały, starały się jak mogły. Jakież było ich rozczarowanie i rozgoryczenie, gdy ten wysiłek nie został doceniony, a trzy panie praktykantki ukarano mandatem. A za co? — za kurz znalezione za odsuniętym łóżkiem. Ciekawe, że przy przyjmowaniu obiektu ten „tak surowy Saneptid” nie dopatrzył się 3-4 cm warstwy kurzu na listwach za łózkami, a dopiero po kilku dniach. Nawet gdyby bardzo się starać, to w ciągu kilku nastu dni trudno jest nagromadzić taką warstwę kurzu. Do czasu tego mandatu (ok. 14 dnia pobytu) sale nie były ani raz sprzątnięte przez sprzątki.

Pięknie została opisana pielęgniarka. Lecz oprócz stwierdzenia, że jest pielęgniarką dyplomowaną z Łodzi, nie jest zgodne z prawdą. Pielęgniarka wywijała się ze swoich obowiązków sumiennie i zgodnie z ich zakresem. Z dziećmi z kolonii „laziła” wszędzie, a ponieważ torba apteczna rozpadła się — leki nosiła w swojej prywatnej torbie. Jest jawnym oszczerstwem i podważaniem kwalifikacji zawodowych stwierdzenie: „p. pielęgniarka strasznie lubi nas leczyć swoimi sposobami. W tym celu nabyła ona furę rozmaitych lekarstw, za prawie 6 tys. zł, także antybiotyków, którymi hojnie nas spryskuje na okoliczność przebiegów katarów, skaleczeń i odciśków”. P. pielęgniarka podawała leki przepisane przez lekarzy imiennie, dla każdego chorego dziecka. Zastępuje na uwagę natomiast fakt, że kolonia nie była zabezpieczona w podstawowe lekarstwa. Nadmienimy, że w zakresie obowiązków pielęgniarki jest kontrola higieny osobistej pracowników kuchni, m.in. czystości rak i paznokci.

Następny problem poruszony przez autora — to kto rządził na kolonijach? Cała kwestia odnośnie tego zagadnienia jest niezgodna z prawdą. Powiedzenie typu „możesz mi skoczyć” jest powiedzeniem męża kierowniczki, a nam się ono bardzo nie podoba i nie życzymy sobie, aby wkładano je w nasze usta. Ponadto nie wykształcenie i wiek się liczy, lecz sposób obcowania z ludźmi — dziećmi i kultura.

Nie jest prawdą jakoby zastępcza kierowniczka miała przyjechać z całą rodziną w II turnusie, natomiast jest faktem, że w I turnusie była zatrudniona kierowniczka z całą rodziną. Nieprawdą jest również to, jakoby kadra pedagogiczna zbierała podpisy na „kartce papieru pod jakimś listem”. Z przykrością musimy stwierdzić, że prawdziwe jest stwierdzenie: „czasami jesteśmy głodni”, „brudni”, bo rzadko była ciepła woda w dostatecznej ilości.

Dziwi nas upodobanie słowa „burdel”, które pojawia się kilkakrotnie w artykule. Dzieci od nas tego słowa na pewno nie nauczyły się, ale po przeczytaniu artykułu mogą włączyć go do swojego słownictwa.

Nie wszystkie praktykantki wyjechały z Przedborza z dobrą opinią. Jedną z pań otrzymała opinię negatywną. Kierowniczka często sugerowała studentkom, że jeżeli będą po jej stronie, to dostaną dobrą opinię. A więc jak? — siedzieć cicho i dostać dobrą opinię, czy zgodnie z własnym sumieniem i faktami odważyć się powiedzieć prawdę. Walczyć o dobro dziecka, czy przysmaknąć oko na kłamstwa i oszustwa...?

Kolonijści nigdy nie pozostali bez opieki. Tego sławetnego dnia, kiedy dwie panie udawały się do dentysty zostały one zwolnione przez zastępcę kierowniczki, gdyż kierowniczka była nieuchwytiona na terenie ośrodka. A grupy przekazane pod opiekę kierowniczki i pielęgniarki. Panie nie „ułożyły się z kolonistami na cały dzień”, lecz zaledwie na 4 godziny (12.45-17.00), czas, który był niezbędny, aby dostać się do Radomska do dentysty. Był to czas obiadu, ciszy poobiedniej i podwieczorku.

Jeżeli zaś chodzi o sprawę telewizji, to panie praktykantki nie „tylko sobie znany” sposobem nakłoniły pana z telewizji, żeby obmawiał cały ten burdel”, lecz w sposób ogólnie dostępny z Radomska, a nie z Piotrkowa Trybunalskiego przy użyciu aparatu telefonicznego rozmawiały z redakcją telewizji w Łodzi, prosząc w imieniu rady pedagogicznej o interwencję. Na potwierdzenie tych słów znajdują się rachunki z poczty głównej w Radomsku, stwierdzające odbyte rozmowy. Rozmowa z redakcją telewizji w Łodzi przeprowadzona była po bezskutecznej kilkukrotnej próbie nawiązania kontaktu z organizatorem.

Sugestia, że raport został nakreślony w śmietniku i na korce tenisowym zasładow był śmieśnawy. Może nie wszystkim to się podoba, ale niestety zimne oko kamery jest obiektywne i nie daje się nagiąć w zależności od potrzeb i interesów.

Kolejna niezgodność — do ośrodka nie przyjechała żadna „specjalna komisja”, która to zwolniła zastępcę kierowniczki i jednego wychowawcę. Zwolnienie nastąpiło 18 lipca 1986 r. tj. dzień wcześniej i było wydane przez zastępcę dyrektora naczelnego Komunalnego Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych. A jak w Łodzi się okazało, nie było to zwolnienie z pracy, lecz odsunięcie na czas okaleczenia — kadra rezerwowa. Po drugie — „komisja specjalna” owszem przyjechała do ośrodka 19 lipca po naszym wyjeździe, kiedy na terenie nie było ani jednego dziecka czy wychowawcy z I turnusu. I po generalnych porządkach, łącznie z pastowaniem podłóg, które odbyły się 3 dni przed naszym wyjazdem.

Koncząc te wyjaśnienia pozostaje nadmienić, że jeżeli ktokolwiek przeszedł „szkołę życia” i lekcję poglądową na temat „jak pod kimś dołki kopać”, to na pewno nie dzieci, które o tych rzeczach nic nie wiedziały, mogły jedynie domyślić się pewnych spraw i wyczuwać nieco niemiłą atmosferę.

Lekcję odebrały na pewno: pielęgniarka, praktykantki i pozostała kadra pedagogiczna, bo „głodne kawałki o takich dupercjach jak uczęszczanie do szatni, praca, moralność, sprawiedliwość” to tylko mit, i gdy ktoś stara się sprzeciwić złu, dostaje tylko po głowie. Liczy się tupet, podjazdowa gra i szerokie plecy.

Zastępcę kierownika, pielęgniarkę, wychowawczynię I turnusu kolonii letnich w Przedborzu
(Nazwiska i adresy wyłącznie do wiadomości redakcji.)

DWIE SPRAWY SŁUŻBY ZDROWIA

Odpowiedź na pismo z 27 czerwca 1986 r. dotyczące listów ob. ob. Henryki Binkowskiej i Tomasza Duszniakiewicza. Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi uprzejmie informuje, że w obu sprawach zostało przeprowadzone postępowanie wyjaśniające. O dokonanych ustaleniach powiadomiono zainteresowanych.

Zarzut opisany w liście ob. H. Binkowskiej z 24.05.86 r. został potwierdzony. W związku z tym wydział przepraszył ob. H. Binkowską za postępowaniem felerera Jana Otawskiego i poinformował, że w stosunku do wyżej wymienionego zostaną wyciągnięte konsekwencje służbowe. Ponadto postępowanie ob. J. Otawskiego zostanie omówione na naradzie personelu zespołów wyjazdowych Pogotowia Ratunkowego, tak by podobne przypadki nie miały więcej miejsca.

Zarzut opisany w liście ob. Tomasza Duszniakiewicza nie znalazł potwierdzenia w przeprowadzonym postępowaniu wyjaśniającym. Kople pism skierowanych przez wydział do ob. ob. Henryki Binkowskiej i Tomasza Duszniakiewicza załącza się

lek. TADEUSZ RZESNIOWIECKI

W związku z opublikowanym w tygodniku „Odgłosy” 12.04.86 r. listem Obywatelki „Kto by mi zbadal ciśnienie?” i oświadczeniem Obywatelki w tej sprawie zamieszczonym w wyżej wymienionym tygodniku z 17 maja br. oraz jej listem z 25 maja 1986 r. w sprawie pomiaru ciśnienia, przesłanym do redakcji tygodnika „Odgłosy”, Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi informuje, że treść wyżej wymienionej korespondencji była przedmiotem postępowania wyjaśniającego, przeprowadzonego przez ten wydział.

Ustalono, że Obywatelka podpisała w dwóch egzemplarzach sporządzone w maszynopisie przez felerera ob. Jana Otawskiego oświadczenie, żądając jednocześnie skreślenia zamieszczonych tam wyrazów „zmierzono mi ciśnienie”. Ob. Jan Otawski w obecności Obywatelki dokonał skreślenia tych wyrazów tylko na jednym oświadczeniu. Wyjaśnił, że na drugim egzemplarzu nie dokonał skreślenia przez przeoczenie. Oświadczenie bez skreślenia zostało przesłane do redakcji tygodnika „Odgłosy” przez Wojewódzką Stację Pogotowia Ratunkowego w Łodzi.

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej przeprasza Obywatelkę za postępowanie ob. Jana Otawskiego i nadmieniamy, że w stosunku do wyżej wymienionego zostaną wyciągnięte konsekwencje służbowe.

Zawiadamiając o powyższym wydział równocześnie informuje, że zarzut Obywatelki dotyczący trudności w dokonaniu pomiaru ciśnienia nie został potwierdzony w postępowaniu wyjaśniającym. Ustalono, że Obywatelka jest zarejestrowana od 1977 r. w poradni ogólnej Przychodni Rejonowej w Aleksandrowie, gdzie m.in. rozpoznano u niej nadciśnienie tętnicze. W związku z tym Obywatelce dokonywano pomiarów ciśnienia oraz zlecano odpowiednie leki. Ostatni jej kontakt z lekarzem wymienionej przychodni miał miejsce w dniu 2.10.1985 r. (wizyta domowa).

Po tym terminie Obywatelka nie zgłaszała się do przychodni w celu udzielenia pomocy medycznej, pomimo że lekarze intensiwnie przyjmują pacjentów w systemie 2-zmianowym i w trakcie badań lekarskich dokonują pomiaru ciśnienia. Ponadto w gabinecie zabiegowym Przychodni Rejonowej w Aleksandrowie dokonywane są również pomiary ciśnienia codziennie w godzinach od 13 do 15.

W związku z tym wydają się nieuzasadnione pytania Obywatelki „Co by się stało, gdybym się nie znalazła prywatnie, kto by mi pomógł? Kto by zbadal ciśnienie?”, zamieszczone w tygodniku „Odgłosy” z dnia 12 kwietnia br.

lek. RYSZARD MACHNIKOWSKI

OD REDAKCJI. Odpowiedź udzielonej przez Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej UML Tomaszowi Duszniakiewiczowi nie publikujemy ze względu na to, że sprawa nie była poruszana na łamach pisma.

CZY KOŚCIOŁ WYPACZAŁ NAUKĘ JEZUSA?

Mój artykuł pt. „Nie byłam Zygmuntem Kalużką” oskarżał Kościół o wypaczenie nauki Jezusa Chrystusa — zamieszczony w 32 numerze „Odgłosów”. — wzbudził dość nieoczekiwane duże zainteresowanie Czytelników. Odebrałem kilka listów i telefonów. Niektórzy napisali nawet obszerne traktaty historyczne i teologiczne. Za wszystkie uwagi i pouczenia serdecznie dziękuję, a szczególnie panu Danucie Łuczyskiej z Łodzi i panu Jackowi Koniecznemu z Poznania.

STANISŁAW KAWCZYŃSKI

CZYTELNICY — REDAKCJA

WIT ZAKROTA, Łódź. Wielokrotnie już pisałem, że nie publikujemy anonimowych listów. Anonimem jest również list podpisany fikcyjnym nazwiskiem i z podanym fikcyjnym adresem. Tak jest i w wypadku polemiki z Jerzym Wilmańskim. W Łodzi nie ma ulicy Widok. Kamufaż jest zbyt wyraźny. Jerzy Wilmański swoje uwagi o „Powrocie do Eden” opublikował w „Głosie Robotniczym”. Byłoby najprościej i najuczciwiej podjąć z nim polemikę pod własnym nazwiskiem i na łamach „Głosu Robotniczego”. A tak wyszło głupio! Nie daliśmy się nabrać.

LECH JAN JAMKA, Düsseldorf. Za list dziękujemy. Nie wiedzieliśmy, że mamy Czytelnika aż w Düsseldorfie. Cieszy nas to, choć nie we wszystkich się zgadzamy.

Zainteresowała pana sprawa Stanisława Pietrzyka, który swódcil się do redakcji z prośbą o odpowiedź, co ma zrobić z karą, jaką otrzymał za podróowanie z synem, który nie miał ważnej legitymacji. Przepisy są jednoznaczne i ich naruszenie powoduje takie, a nie inne konsekwencje. Tak też było w przypadku Stanisława Pietrzyka. Panu natomiast nasunęło to następujące wspomnienie.

... przed laty byłem świadkiem podobnego incydentu, kiedy to pan konduktor dopatrzył się braku stempla na szkolnej legitymacji ucznia II klasy szkoły podstawowej i oczywiście nie mógł uwierzyć, że dany osobnik w przykrótkich portkach reprezentuje dzielnicę szkolną. Podczas głośnej wymiany słów z rodzicielelem owej nieszczęśliwej dziewczynki wręciłem i ja swój kilka. Na następnej stacji pojawili się wezwani przez konduktora osobnicy, zwani SOK-istami, i odprowadzili nie kogo innego, jak właśnie mnie do pobliskiego komisariatu kolejowego, gdzie sporządzono protokół, w którym stało, iż ja osobiście naubliżałem funkcjonariuszom ładu społecznego. Nie pomogło tłumaczenie, że akurat wracam ze spotkania z ks. prof. Tischnerem, gdzie na tego rodzaju imprezki raczej się alkoholu nie spożywało, że pracuję na stanowisku kierownika apteki, niekarany, podporucznik rezerwy itd. Zastanawiałem się nawet Ludowym Wojskiem Polskim — tonący chwycił się i brzytwy. Zanosilo się na najgorsze, kiedy przypomniałem sobie, że w tece mam eksportową butelkę koniaku, którą przygotowałem, aby załatwić dodatkową dostawę brakujących leków do apteki, którą kierowałem. Po chwili protokół wyjąłował w koszu, a po jakiejś godzinie pan Stasiu (szef posterunku) odprowadził mnie, bo sam może bym nie dał rady, nie przywykły do takiego tempa”.

Było to dawno, z listu wynika, że wyjechał pan pod koniec lat sześćdziesiątych z Polki. Niemniej sugeruje pan, że Stanisław P. też powinien być podobnie: „tu flaszczyk, tam flaszczyk...”. Otóż coś się u nas zmieniło przez te kilkanaście lat. I mamy już dość ciągłego dawania „tu flaszczyk, tam flaszczyk...”. Zresztą i flaszczyki podrozały, co nie znaczy, że ludzie nie dają, że ludzie nie biorą, że już wszyscy stali się aniołami. Przeciwnie! Wiemy, jakie mamy wady, ale wiemy również, że musimy z nimi walczyć. Zdecydowanie. Po prostu nauczy się przestrzegać prawa, a nie ciągle je obchodzić. Takie mamy teras smartwiera.

Za list dziękujemy!

REDAKTOR DYŻURNY

SPROSTOWANIE

W numerze 34 (1482) „Odgłosów” do artykułu Pawła Zdaniewskiego „Nawet szczyry muszą odejść” wkraśli się błąd. Zdanie „Mama nie może wysiedzieć, jeździ do córki, pomaga w polu”, powinno brzmieć „Alama nie może wysiedzieć, jeździ do córki, pomaga w polu”. Przepraszamy.

Publikujemy fragment rozmowy, jaką z przywódcą Kuby przeprowadził dziennikarz brazylijski, dominikanin Frei Betto. Rozmowa ojca Frei Betto z Fidelem Castro ukazała się w 1985 roku na Kubie, a przedmowę do niej napisał minister kultury Kuby — Armando Hart. Przekład tej książki Janiny Perlin i Małgorzaty

Dolgolewskiej ukazał się w Polsce nakładem Instytutu Wydawniczego PAX. Przekłady ukazały się również w wielu krajach Europy i Ameryki Południowej. Stanowi ona ważne wydarzenie, gdyż Fidel Castro w rozmowie z Frei Betto porusza istotne problemy komunizmu, katolicyzmu i współpracy marksistów z katolikami w

różnych warunkach ustrojowych, politycznych i kulturalnych. Ustosunkowuje się też do tak ważnej dla Ameryki Południowej teologii wyzwolenia.

Z książki tej publikujemy dwa fragmenty. Ich tytuły pochodzą od redakcji.



Fidel Castro o Kościele katolickim i Rewolucji kubańskiej

FREI BETTO: — Comandante, w dzieciństwie słyszałem, jak niektórzy księża mówili, że musimy zwalczać komunizm, zwalczać socjalizm, ponieważ gdy nastaje socjalizm zamyka się kościoły, rozstrzeluje księży, gwałci zakonnice, wiesz biskupów. Pytam: czy na Kubie zamknięto kościoły, rozstrzelano księży, torturowano biskupów — jak w Brazylii, w okresie sprawowania władzy przez wojskowych? Jak to było?

FIDEL CASTRO: — Zaraz ci to wyjaśnię. Sądzę, że w każdej z klasycznych rewolucji historycznych pojawiały się poważ-

ne konflikty między rewolucją, ruchami politycznymi i Kościołem. Te konflikty były często z Kościołem katolickim, natomiast w dawnym imperium carskim z Kościołem prawosławnym.

FREI BETTO: — W Meksyku, rewolucja meksykańska.

FIDEL CASTRO: — Tak, miałem zamiar o tym powiedzieć, ale myślę o epokach jeszcze dawniejszych. Reformacja również spowodowała bardzo gwałtowne konflikty, kiedy wyłonił się ruch Lutera i Kalwina, kiedy się pojawiały różne Kościoły. Reformacja wywołała przemoc i

przelew krwi. Zawsze, od najdawniejszych czasów, opowiadał mi o Nocy Świętego Bartłomieja we Francji; to fakt historyczny, tysiące osób wymordowano na skutek konfliktów religijnych. A więc przemoc pojawiała się nie tylko w konfliktach politycznych i społecznych; straszną, o wielkim nasileniu przemoc występowała też wewnątrz samych ruchów religijnych. Nie wiem, czy ktoś policzył, ilu ludzi zginęło z tych powodów.

FREI BETTO: — Z powodów Inkwizycji.

FIDEL CASTRO: — Tak, ale również i po Inkwizycji, po jednej i po drugiej stronie, bo sądzę, że wszyscy w takiej lub innej formie stosowali przemoc: czasem to było państwo, a czasem Kościół. Mam na myśli, że nie tylko w konfliktach politycznych między jakimś Kościołem a ruchem politycznym istniała przemoc, lecz także — właśnie to chcę powiedzieć — w samych ruchach religijnych występowała przemoc. Trzeba też powiedzieć, że kiedy pojawiło się chrześcijaństwo, w imię starego Kościoła pogańskiego Rzymu poświęcono życie milionów chrześcijan.

Nie wiadomo, ilu chrześcijan zamordowało Cesarstwo Rzymskie w ciągu trzystu lat, od czasu Chrystusa, który był pierwszą ofiarą, aż po ostatniego chrześcijanina, zanim chrześcijaństwo stał się oficjalną religią Cesarstwa.

Chcę powiedzieć, że w walkach samego Kościoła padło wiele ofiar. Stosowano przemoc wobec Kościoła, a potem również Kościół stosował ją w znaczącym stopniu. Dlatego nie może zupełnie dziwić fakt, że przemoc pojawiała się też w stosunkach między rewolucyjnym ruchem politycznym a Kościołem.

W rewolucjach klasycznych, począwszy od Rewolucji Francuskiej, która była bardzo ważnym wydarzeniem historycznym, dochodziło do przemocy w stosunkach między rewolucją a Kościołem; nie chodziło zresztą o cały Kościół, lecz tylko o jego część. Nie należy bowiem zapominać, jak doszło do Rewolucji Francuskiej przy istnieniu Zgromadzenia, w którym były reprezentowane

trzy stany: szlachta, kler i stan trzeci, to znaczy kupcy, przedstawiciele wolnych zawodów, rzemieślnicy, czyli — jak moglibyśmy to nazwać — klasa średnia. I właśnie kler, zwłaszcza niższy, choć nie brakło tam też kilku biskupów, stanowił większość trzeciego stanu. Tak więc kiedy król zwołał to Zgromadzenie, nawet niektórzy ze szlachty poparli średnie warstwy ludności, tymi jednak, którzy stanowili większość, byli duchowni, księża, kilku biskupów, a także trochę szlachty. Nie należy zapominać o La Fayette i kilku innych, którzy poparli rewolucję. Była to pierwsza klasyczna rewolucja epoki nowożytnej z użyciem przemocy. W walkach ginęli księża i biskupi po obu stronach, nie tylko po jednej, nie należy jednak zapominać, że to duchowni odegrali decydującą rolę w doprowadzeniu do Rewolucji Francuskiej.

Te konflikty powtórzyły się w takiej lub innej formie w toku drugiej wielkiej rewolucji społecznej naszej ery, jaką była rewolucja bolszewicka. Nie znam zbyt wielu danych na ten temat, ale wyobrażam sobie, że tak jak w każdej rewolucji, i tu musiało dojść do konfliktu między Kościołem a rewolucją, i być może rozstrzelano księży, nie wiem, bo nie zwraca się takiej uwagi na poszczególne fakty, gdy chodzi o wielkie procesy historyczne. Znam o wiele więcej faktów — napisano na ten temat wiele książek — z Rewolucji Francuskiej. Sądzę jednak, że i tam były te konflikty.

Rewolucja na naszej półkuli, w Meksyku, też była rewolucją społeczną, ale nie była to rewolucja socjalistyczna. I znowu odnajdujemy w niej to samo: część Kościoła opowiadała się za rewolucją, część przeciw, co też przyczyniło się do rozpętania przemocy i do poważnego konfliktu; konflikt był bardzo krwawy.

Jeśli, na przykład, weźmiemy hiszpańską wojnę domową, to stwierdzimy, że konflikt był również krwawy; rozstrzelano księży, i być może biskupów, po jednej stronie i musieli być także rozstrzelani księża po drugiej stronie.

Jeśli chodzi o naszą Rewolucję, to jest ona naszą rewolucją dołębnie społeczną. Jednakże nie zdarzyło się ani razu, aby rozstrzelano biskupa czy innego duchownego, nie było ani jednego przypadku fizycznego maltretowania, torturowania księdza. Powiedziałbym, że najbardziej godne uwagi jest to, że nie było przypadku rozstrzelania czy torturowania ani duchownego, ani osoby świeckiej. My bowiem już wtedy, gdy przeżywałyśmy w Sierra Maestra i wydaliśmy ustawy, o których ci mówiliśmy, ustawy przeciw oprawcom i mordercom, wpajaliśmy wszystkim naszym towarzyszom walki szacunek dla ludzkiego życia, dla osoby ludzkiej, uczyniliśmy ich, że należy przeciwstawiać się samowoli, niesprawiedliwości, stosowaniu fizycznej przemocy wobec ludzi, wobec więźniów, wobec jeńców.

Wygraliśmy wojnę nie tylko w wyniku walki, lecz również dlatego, że umieliśmy należeć do postępowej z jeńcami. Nie było ani jednego przypadku rozstrzelania żołnierza wziętego do niewoli, nie było ani jednego przypadku torturowania jeńcy, nawet gdy chodziło o wydobycie z niego ważnej informacji. Mieliśmy oczywiście prawo, mogliśmy wykryć szpiega, sądzić go, ukarać a nawet rozstrzelać. Ale go nie torturowaliśmy, aby coś z niego wydobyć. Był to na ogół ludźle zdemoralizowani i wydawało się nam, że czyniąc to, sami byśmy się zbrukali.

Podstawą działania naszych ludzi była właśnie głęboka niechęć do tortur i zbrodni, jak więc mogliśmy dawać naszym żołnierzom przykład torturowania i popełniania zbrodni? Byłaby to demoralizacja. Ci, którzy nie rozumieją, że w Rewolucji moralność jest czynnikami podstawowym, są zgubieni, skazani na klęskę: to właśnie system wartości, moralność, duchowość ukształtowała człowieka. Musisz bowiem zrozumieć, że niezależnie od wiary, nie pozyskaliśmy byjownika Rewolucji obietnicą, że czeka go nagroda na tamtym świecie, lub że po śmierci czeka go wieczna szczęśliwość. Ci ludzie szli na śmierć, i choć

byli niewierzący, gotowi byli umrzeć, ponieważ uważali, że są wartości, za które warto poświęcić życie, choć poza życiem nie mieli niczego. Jak można wyzwolić w człowieku taką determinację, jeśliby nie opierał się na określonym systemie wartości? A jeśli tak, to jak można by pozwolić na ich splamienie lub zniszczenie?

W naszej wojnie nie było ani jednego przypadku rozstrzelania żołnierza wziętego do niewoli i to bardzo nam pomogło, bo bardzo powiększyło prestiż, moralny autorytet sił rewolucyjnych w porównaniu z wrogiem, który torturował, zabijał i dopuszczał się wszelkich zbrodni. Tę tradycję utrzymaliśmy przez cały 26-letni okres, przez wszystkie lata Rewolucji, gdyż była to polityka stała, zdecydowana i nigdy nie tolerowaliśmy czegoś przeciwnego. Nieważne, co na ten temat mówią wrogowie! Płotą straszne bzdury, ale my nie zwracamy na to uwagi. Czasem czytasz jakąś depezę i widzisz, że są zrytowani, bo naprawdę nie mogą przedstawić ani jednego dowodu na to, że Rewolucja dokonała morderstwa, że Rewolucja kogoś torturowała, że Rewolucja sprawiła, iż ktoś zginął. Nie, na to w ciągu 26 lat nie znajduję ani jednego dowodu. Twierdzą, że ta Rewolucja była rewolucją zdyktowaną, jeśli można tak się wyrazić; to znaczy, że przebiegała z zachowaniem wielkiego porządku.

Byliśmy bardzo radykalni, ale nie do przesady. Nigdy nie znajdowaliśmy, ani nie będziemy znajdować, usprawiedliwie-

nia rękę reakcji i imperializmowi, ukazując obraz Rewolucji rozstrzelującej księży. Zawsze o to dbaliśmy. Niektórzy popełnili poważne przestępstwa, ale nigdy nie zastosowano wobec nich najcięższej kary. Oczywiście nie było takich wypadków wiele, bo co innego jest opozycja polityczna, zapewnienie kontrewolucji, wsparcia politycznego i ideologicznego, a co innego dokonywanie aktów sabotażu lub poważne działania kontrewolucyjne. Nie było ich więc faktycznie wiele, ale w żadnym przypadku, w którym zastosowanie prawa byłoby uzasadnione, nie uczyniono tego — księży traktowano zawsze ze szczególnym względami. W kilku wypadkach skazano księży na karę więzienia za działalność kontrewolucyjną, ale żaden z nich nie odsiedział w całości wyroku; przebywał w więzieniu niezbędną, minimalną ilość czasu i staraliśmy się zawsze, aby mogli wyjść. Nie chcieliśmy ani obrazić księdza-więźnia, ani obrazić Rewolucji z uwiecznionym księdzem, nawet jeśli taka kara była uzasadniona.

Pewien wpływ miał na to fakt, że mieliśmy tu bardzo inteligentnego, bardzo zdolnego nuncjusza, monsignora Zachęgo, wielkiego nuncjusza, człowieka bardzo inteligentnego, o konstruktywnych poglądach, o wielkiej umiejętności obcowania z ludźmi, który widział niecelowość tych konfliktów między Kościołem a Rewolucją i pomagał nam ich u-



nia, ani nigdy nie zgodziliśmy się na pogwałcenie jednej z tych wartości, na których opiera się Rewolucja. I powtarzam ci, że nie tylko żaden ksiądz, żaden biskup, ale i żaden najgorzszy wróg, z tych, którzy przygotowywali zamachy na przywódców Rewolucji — a CIA zaplanowała dziesiątki tych zamachów — nigdy nie był obiektem takich metod. (...) Czy rozstrzelano jakiegokolwiek księdza za czynny kontrewolucyjny? Odpowiadam: nie. Czy na mocy prawa było to możliwe? Tak, było to możliwe, księża popełnili bowiem niegłównie przestępstwa.

FREI BETTO: — W inwazji w Zatoce Świń brało udział trzech księży.

FIDEL CASTRO: — Muszę to sprawdzić, bo nie pamiętam dokładnie, ale jestem prawie pewien, że było ich trzech. Z punktu widzenia prawa wszyscy uczestnicy tej inwazji popełnili zbrodniczą zdradę ojczyzny, gdyż jeśli ktoś udaje się do obcego kraju, który jest wrogiem jego ojczyzny i pod jego rozkazami dokonuje inwazji na własną ojczyznę, przewlekając krew i zabijając swoich rodaków, to jest to niewątpliwie zdrada ojczyzny. Prawie wszystkie kodeksy orzekają za to karę śmierci.

Były także przypadki współudziału księży w działalności kontrewolucyjnej, w których mogły zapaść surowe wyroki, takie jak rozstrzelanie. Jednakże ani razu tak się nie stało, ponieważ staraliśmy się, aby nigdy z tego nie doszło, nie chcieliśmy w żaden sposób iść

niżej. Sądzę, że w dużym stopniu przyczynił się do tego, aby te konflikty się nie pogłębiły. A my, korzystając z jego pomocy, wypuściliśmy na wolność tych nlicznych księży, o których mówiłem.

FREI BETTO: — Czy dochodziło do zamykania kościołów, wydalania księży?

FIDEL CASTRO: — Nie, nie ma w kraju ani jednego zamkniętego kościoła, nie ma ani jednego i nigdy nie było. Natomiast zdarzyło się w pewnym określonym momencie, kiedy starcie polityczne było szczególnie silne, że z powodu zacieklej, politycznej postawy niektórych księży, zwłaszcza pochodzenia hiszpańskiego, zażądaliśmy, by zostali odwołani z kraju, odebraliśmy im zezwolenie na pobyt tutaj. Tak, to się zdarzyło, podjęliśmy takie kroki, jednakże zezwoliliśmy na przyjazd innych księży, aby zastąpili tych, którzy zostali wydalen. Można jednak powiedzieć, że była to ostateczność, tego rodzaju posunięcie, które w określonej chwili, zresztą tylko jeden raz, było konieczne. Potem stosunki się unormowały. (...)

C.D.N.



Jakże mylili się łodziarze, którzy odprawiając wrocławskie trzy eleganckie autokary wyruszające upalnie lipcowego ranka sprzed Teatru Wielkiego, sądzili, iż wiozą one artystów na zastawiony — po nader intensywnej pracy — wakacyjny odpoczynek... Artysty przełożyli swe urlopy. Zaprośzenie do wzięcia udziału w liczącym się w świecie muzycznym festiwalu „Europäische Wochen '86” powiodło ich do będącego siedzibą tej imprezy zachodnioniemieckiego miasta Passau.

LEŻĄCE W BAWARII PASSAU

cięższy się dużym zainteresowaniem turystów, którzy licznie przybywają tu latem by korzystać z łagodnego klimatu, uprawiać przejażdżki po znów pięknym — bo oczyszczonym — modrym Dunaju (właśnie w Passau łączą się z nim dwie inne rzeki: Inn i Ilz) i uczestniczyć w wielkim świecie muzyki, jakim jest ów festiwal organizowany już od trzydziestu pięciu lat.

Polihymnia ma w tej części Europy swój bardzo atrakcyjny szlak, który dla artystycznych doznań chętnie przemierzają melomani z całego świata. To właśnie w Bawarii — jednym z krajów związkowych Republiki Federalnej Niemiec — leży Bayreuth, w którym swe dzieła tworzył Ryszard Wagner. Dziś w teatrze wzniesionym sto dwadzieścia lat temu przez twórcę „Pierścienia Nibelunga” odbywają się coroczne wagnerowskie festiwale muzyczne, których uczestnicy chętnie odwiedzają także słynne muzeum pełne pamiątek przybliżających im osobę i twórczość wielkiego kompozytora.

Graniczący z Bawarią austriacki Salzburg — kraj związkowy — którego świątynią jest miasto o tej samej nazwie, szczyci się mianem rodzinnych stron Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Passau dumne jest nie tylko ze swego festiwalu, lecz także z licznych zabytków, których historyczną wartość architektoniczną i urzekającą urodę zachwala tutaj foldery i przewodniki. Ich autorzy najchętniej podpierają się opinią Napoleona: „Passau to najpiękniejsze ze wszystkich niemieckich miast, jakie widziałem”.

O rzeczywistym wdzięku Passau: wdzięku tym bardziej nas urzekającym, że pozbawionym ciężkiego i dość ponurego wyrazu i stylu niemieckiej architektury, przekonaliśmy się dopiero po długiej podróży. Spędzamy w niej niemal dwadzieścia godzin, a już w połowie drogi upał i zmęczenie mocno dają nam się we znaki. Niemiecki kierowca naszego autokaru nie jest „Carusem kierownicy” ani mistrzem refleksu. Wielką życzliwość okazują nam polskie służby graniczne i celne. Umieszczona na przedniej szybie duża wizytówka Teatru Wielkiego robi na nich równie miłe wrażenie, jak fakt, iż rozpoznają wśród nas „samego Kazimierza Kowalskiego”. Pracownicy przejścia granicznego w Olszynie życzą nam sukcesów a ja nie bez obaw myślę o tym, jakie matryz szanse na podbicie chłodnej i bardzo wymagającej publiczności zachodnioniemieckiej, jeśli już teraz na pierwszy raz w granic wiadomo, że wyjechawszy z Łodzi o świcie, nie dojedziemy do Passau przed północą. Zar leje się z nieba i w klimatyzowanym autobusie dziewczynom z baletu, które jutro zatańczą muszki zwiennego walecia i szampańskiego kankana puchną nogi i nawet trzymanie ich na oparciach foteli niewiele pomaga.

TRZY SPEKTAKLE „WESOŁEJ WDÓWKI”

Franciszka Lehara, która prezentować będziemy w Passau to dla zachodnioniemieckiego impresaria pokrywającego koszty naszego udziału w „Europäische Wochen '86” za nam, by teatr łódzki przedstawił ją w dwu posiadanych obsadach co wykonawcom — szczególnie głównym, bardzo wyczepniającym ról — zapewniłoby niezbędną komfort psychologiczny. Konieczność trzykrotnego, po

wielogodzinnej podróży — niemal bez odpoczynku — granicy tego spektaklu to bardzo trudne zadanie, z którego wywiązać się musi liczna grupa solistów, chór, balet i orkiestra.

Najcięższą próbą przedsięwzięcia to jest dla twórców głównych postaci — Delfiny Ambroziak kreującej rolę Hanny Glawari — tytułowej „wesołej wdówki” i Tadeusza Kopackiego, który wciela się w postać zakochanego w niej hrabiego Danily. Wierząc w ich doświadczenie i talent, z każdą coraz bardziej wydłużającą się godziną podróży przestają natomiast wierzyć, by dzieląc nas od celu ilość kilometrów (którą na zachodnioniemieckiej granicy osiągniętej po długiej jeździe przez Niemiec Republikę Demokratyczną ze stoickim spokojem podaje nam flegmatyczny kierowca) udało się pokonać przed północą; musimy jeszcze minąć Bayreuth i Norymbergę.

I rzeczywiście: mija dziesięć, następuje godzina jazdy, gdy wreszcie zatrzymujemy się przed

największą atrakcją są po prostu wygodne łóżka.

Po kilku godzinach snu raczymy się wybornym śniadaniem z suto zastawionego „szwedzkiego stołu” i punktualnie o dziesiątej rozpoczyna się próba na scenie wielkiej „Nibelungenhalle”. Niezawodni pracownicy techniczni już o świcie ustawili nasze wspaniałe dekoracje zaprojektowane przez Xymenę Zaniewską i Mariusza Chwedeckiego. Próba przebiega więc sprawnie, choć prowadzącego spektakl Tadeusza Kozłowskiego niepokoi akustyka, która od śpiewaków wymagać będzie zdwojonego wysiłku.

Siedząc na uboczu obserwujemy naszych śpiewaków i tancerzy: wszyscy są w doskonałej formie, ale przybyli wraz z nimi lekarz — dr Andrzej Klink — spieszy z pomocą zgłaszającym swe drobne dolegliwości artystom — ktoś po długiej jeździe o wyłączenie suchym prowiancie „czuje żóładek”, kogoś boli gardło, komuś dokucza ból mięśni, wszystkim

Rajskiego. Jesteśmy więc w wybornym towarzystwie. To także zobowiązują.

Kilka godzin jakie dzielą nas od przedstawienia tylko nieliczni poświęcić mogą na krótki spacer. Kolorowe, pełne kwiatów „wychuchane — wydmuchane” miasto urzeka architekturą, wazitkami zaułkami i pnącymi się w górę, to znów opadającymi w stronę Dunaju uliczkami. Na licznych skwerach, placach i pasażach — wielobarwne transparenty i plansze reklamowe festiwalu. Dużo fotosów. Z wielu witryn uśmiecha się do mieszkańców Passau i licznych gości tego uroczego miasta zakochana para bohaterów „Wesołej wdówki”: Hanna Glawari i Danilo Danilowicz, czyli Delfina Ambroziak i Tadeusz Kopacki. My zaś oglądamy wszystko, co zrobiono tu dla reklamy festiwalu i poszczególnych imprez składających się na jego program. We wszystkich sklepach, magazynach, kawiarniach i piwiarniach, a nawet w bankach czekają na klientów foldery i ulotki reklamowe. Znajdują je

ganga Amadeusza Mozarta. Co roku w ramach festiwalu odbywa się tu

„ŚWIĘTO MOZARTA”

Wielki kompozytor koncertował w Passau będąc sześciolatnim cudownym dzieckiem i wraz ze swymi rodzicami oraz ukochaną siostrą Nannerl mieszkał w hotelu noszącym dziś nazwę „Grauer Hase” („Szary Królik”). Obserwowany od lat renesans jego twórczości (oby i u nas...) na całym świecie owocuje szeregiem imprez „mozartowskich”. Dyrektor Sławomir Pietras podjął już rozmowy na temat możliwości zaprezentowania tej imponującej ekspozycji (którą mieszkańcom Passau zorganizowało muzeum Mozarta w Salzburgu i tamtejsze „Mozartem”) byłalcom Teatru Wielkiego w Łodzi.

Widzowie przybywają punktualnie i sala szybko wypełnia się do ostatniego miejsca. Gościmy niezwykle elegancką pu-

Eugeniusz Nizioł, Andrzej Niemierowicz i Sylwester Kosteczek) Wspaniały głos, wielka muzyczność oraz uroda i gracia Delfiny Ambroziak, a także przez Tadeusza Kopackiego nader szczęśliwie połączony kunszt wokalny z szarmanckim wdziękiem „Iwa salonów”, zdłębny tej parze naszych śpiewaków prawdziwy entuzjazm festiwalowej publiczności.

Wysoko ocenila ona także innych wykonawców: urodziwą Sylwię Maszewską i pełnego elegancji Jana Kunerta, których dźwięczne, lekkie głosy pięknie spłatały się w melodyjnych duetach Walentyny i Kamila. W pełni zasłużona brawa zdobyli również: Jerzy Jadczyk — ciekawie, z wielkim wyczuciem stylu operetkowego i grotesku teatralnej rysujący postać Barona Mirka i Roman Werhinski, który nader umiejętnie posłużył się ostrą charakterystycznością aktorską w roli Niegusa. Gorąco oklaskiwano także pozostałych wykonawców naszej „Wesołej wdówki”: Kingę Rosińską, Elżbietę Niziołową, Izabelę Kobus, Eugeniusza Nizioła, Andrzeja Niemierowicza, Sylwestra Kosteczek, Tomasza Pitasa, Kazimierza Kowalskiego oraz chór, balet i orkiestrę naszej operowej sceny. W przerwach Sławomir Pietras odbierał liczne gratulacje składane na jego ręce dla całego zespołu (między innymi przez burmistrza Passau), także za poprawną niemiecką. Artysty Teatru Wielkiego zaprezentowali bowiem „Wesołą wdówkę” w niemieckiej wersji językowej, co przy nieskazitelnym dykcji i wyrazistej artykulacji dało nam dodatkowy atut łatwego kontaktu z festiwalową publicznością.

Były też wzruszające i szczyste gratulacje indywidualne. Delfinę Ambroziak odwiedziła w jej garderobie przybyła na ten festiwal światowej sławy śpiewaczka — solistka nowojorskiej Metropolitan Opera — Ingrid Kremling, która w swym rozległym repertuarze ma także liczne partie operetkowe, a wśród nich również rolę Hanny Glawari. Sławomir Pietras nie byłby sobą gdyby ciesząc się z prywatnej rozmowy obu pań nie zdobył informacji, iż znakomita Ingrid Kremling śpiewa również partię Małgorzaty w „Mefistofelesie”. Boita będącym ozdoba repertuaru naszej sceny. Kto wie zatem, czy w tej właśnie roli wielka śpiewaczka nie zaimponuje swego kunsztu łódzki melomanom.

Melomani Passau, którzy przez trzy kolejne wieczory tłumnie przybywali na nasze spektakle („Nibelungenhalle”) czy tysiąc trzysta miejsc, a na przedstawieniach łódzkiej „Wesołej wdówki” zajęte były także miejsca stojące składali naszym śpiewakom liczne i wzruszające dowody uznania. Szybko rozpoznawana w czasie krótkich przedpółgodzinnych spacerów Delfina Ambroziak odpowiadała na wiele uprzejmych ukłonów i pozdrowień a Tadeusz Kopacki wielokrotnie prosił o autografy — nie miała grupa nowych entuzjastów jego talentu w niedzielne przedpołudnie czekała cierpliwie aż zakończymy zwiedzanie katedry, by u jej wyjścia prosić polskiego śpiewaka o pamiątkowe podpisy. Nasz krótki, lecz jakże

OWOCNY POBYT W PASSAU

dobiegł końca zgola niepostrzeżenie. Mnogość zajęć nie pozwoliła artystom łódzkiego Teatru Wielkiego na bardziej wnikliwe zapoznanie się z jego zabytkami.

— Przejażdżkę po Dunaju odbędziemy w przyszłym roku — zapewniali się wzajemnie tym chętniej i tym większe mając ku temu podstawy, że już od pierwszym występie w tym pięknym „mieście trzech rzek” cały zespół otrzymał oficjalne zaproszenie na kolejny festiwal „Europäische Wochen”. Wszystko wskazuje więc na to, iż łódzki teatr będzie stałym uczestnikiem tej imprezy. Z nie małą satysfakcją opuszczaliśmy gościnnie Passau, by dzięki innemu już kierowcy, do którego miało „Carusa kierownicy” pasowało jak ulał znacznie szybciej znaleźć się w domu. Tu artyści Teatru Wielkiego w „ostatnim słowie” pytani przez mnie o to, co mają w najbliższych planach zgodynym chórem odpowiedzieli: — urlop!

EWA PANKIEWICZ

W Passau śpiewać po niemiecku

jednym z dwóch czekających na nas hoteli. Tu wita nas dyrektor Sławomir Pietras, który przyjechał nieco wcześniej, by „pańskim okiem” sprawdzić warunki, jakie zapewniono „jego” artystom. Stwierdziwszy, że zarówno w „Hotel Willder Mann” jak i w „Weisser Hase” warunki są wręcz znakomite, padających ze zmęczenia śpiewaków, muzyków i tancerzy zagania do łóżek i przypominają wszystkim o obowiązku, pełnej próbie scenicznej, którą za sześć godzin cały zespół odbyć musi dla zapoznania się z akustycznymi i technicznymi warunkami wielkiej „Nibelungenhalle”.

— Wszystkie bilety wyprzedane — mówi nam na dobranoc przedstawicielka opiekującej się nami agencji „Konzertdirektion — Landgraf”, co z jednej strony napawa optymizmem i dumą (jesteśmy jedynym zespołem zaproszonym aż na trzy przedstawienia, wszystkie inne mają w harmonogramie festiwalu tylko po jednym wieczorze), z drugiej zaś — potęguje treść. Przeglądając pobieżnie informator hotelu „Willder Mann” z radością konstatujemy, że jest w nim kryty basen czynny całą dobę, ale zmęczenie bierze górę — w tym momencie naszego tournée

potrzebna jest otucha i tego leku dr Klink ma również pod dostatkiem. Wieczorem trzeba śpiewać, tańczyć i grać z wdziękiem należnym ukochanemu przez tutejszą publiczność, nieśmiertelnemu dziełu Franciszka Lehara.

Wiemy już, że

ŁÓDZKA INSCENIZACJA,

której autorem jest Pavel Smok, bezkrytyk jest tu z dużą ciękawością. Przedstawicielka zachodnioniemieckiego impresaria mówi nam, iż organizatorom festiwalu znane są sukcesy jakie nasze przedstawienie odniosło w czasie poprzedniego, niedawnego tournée po RFN, Austrii, Szwajcarii i Holandii. Naszą dumę z udziału w tym festiwalu podnosi fakt, iż jego gośćmi są również tak sławne zespoły i soliści jak: Moskiewska Orkiestra Symfoniczna, zespół Karajana Pavel Badura-Skoda, Claudio Arrau, Praska Orkiestra Kameralna, paryski „Ballet de France” i wiele innych znakomitości, wśród nich także filharmonicy warszawscy pod batutą Wojciecha

nie tylko w recepcji hotelu i mieszczącego się w jego gmachu bogatego Muzeum Sztuki, ale także u wejścia do wspaniałej katedry, która szczyci się posiadaniem największych na świecie organów. W „naszej” restauracji noszącej imię austriackiej cesarzowej Elżbiety II bo w tym właśnie zabytkowym hotelu dziś wyposażonym we wszelkie zdobycze cywilizacji, zatrzymywała się „Keiserin Sissi”, a po niej tacy wielcy tego świata jak Goethe, Tolstoj, w nrzycz zaś czasach Robert Kennedy i kommonauta Neil Armstrong. Uśmiechnięci i nadskakujący uprzejmi kelnerzy rozkładają na stołach festiwalowe reklamówki wraz z kartami dań. Nazwy budzą apetyty naszych smakoszy, ale ceny odsyłają ich do „suchego prowiantu” lub co najwyżej — do pobliskiej pizzerii. Na wszystkich mamy jednak zbyt mało czasu: godzinę przed spektaklem stawiamy się w „Nibelungenhalle” artyści — by z łodzi zmęczonych podróży, próbą i upałem przeistoczyć się w bywalców salonów ambasadary pontewerdyjskiej w której toczy się akcja „Wesołej wdówki” — ja — by przed rozpoczęciem widowiska obejrzeć ekspozycję w foyer wspaniałą wystawę obrazującą życie i twórczość Wolf-

blizność: żadnych dzinsów ani swetrow — drodzy panowie, żadnych, choćby „programowo wymitych” ciuchów z mader — drogie panie, żadnych za długich koszuł do za krótkich spodni, ani złotych szpilek na bosych stopach. Z podziwem oglądamy dyskretnie wytworne suknie z grubych jedwabi, szlachetnych inów, cieniutkich welenek, delikatnych koronek lub skór cienkich jak pergamin. Panowie — w ciemnych na ogół garniturach, a nawet jeśli w tylko nieco jaśniejszych — to zawsze „pod krawatem” (doskonale zresztą dobranym do całości stroju). Pełna godności wymiana ukłonów i ciche rozmowy. Oczekiwanie na dyrygenta w absolutnej, trochę nas niepokojącej ciszy, ale powitanie stojącego za pulpitem dyrygentem Tadeusza Kozłowskiego — tak żywcem i gorące, że siedzący obok mnie Sławomir Pietras może odetchnąć z ulgą.

— Chcą nas, jest dobrze! Było bardzo dobrze! Gromkimi owacjami zakończyły się wszystkie spektakle przerwane głośnie brawami po każdej arii i pięknie śpiewanych scenach ansamblowych z których największe uznanie zdobył doskonały męski septet (Tadeusz Kopacki, Kazimierz Kowalski, Tomasz Pitas, Jerzy Jadczyk,



Tu para (Delfina Ambroziak i Tadeusz Kopacki) podbiła serca publiczności festiwalowej.

Foto: Chwałistaw Zieliński

Pojęcie geograficzne Praga kojarzy się nam zazwyczaj ze stolicą Czechosłowacji bądź też dzielnicą Warszawy położoną na prawym brzegu Wisły. Rzadziej uświadamiamy sobie, że miejscowości o identycznej nazwie jest znacznie więcej. Wszystkie one wzięły swoje miano od prażenia, czyli wypalania lasów, które niegdyś rosły na ich obszarze.

Podobnie jak Warszawa i Łódź miała dawniej dzielnicę Pragę. Rozpocząła się od ul. Widzewskiej (Kilińskiego), sięgając po obu stronach toru kolei fabryczno-łódzkiej aż do ul. Zagajnikowej (Kopcińskiego). Dalej, ku Widzewowi, ciągnął się zagajnik miejski (obecnie park im. 3 Maja).

Pierwotnie cały ten obszar, zwany Karkoszka, wchodził w skład lasów rządowych Leśnictwa Łąków. Od strony północno-zachodniej przylegał bezpośrednio do granic ówczesnej Łodzi. Niewielkim fragmentem linii granicznej, dzielącej wówczas miasto od lasu rządowego, jest ul. Uniwersytecka, zwana dawniej Trębacką.

W 1840 roku, dla zabezpieczenia w przyszłości prawidłowego rozwoju miasta władze Królestwa Polskiego włączyły wspomniany obszar lasów do Łodzi, tworząc tutaj tzw. Nową Dzielnicę. Las niemal całkowicie został wycięty, a na terenach połączonych po wypaleniu chaszczy wytyczono działki pod nowe budownictwo.

W początkowym okresie nie było chętnych do zasiedlenia Pragi. Nowi osadnicy nabywali raczej parcele leżące wzdłuż szosy wiodącej do kolei w Rokicinie, jako bardziej atrakcyjne. Na praktyczny poręcz wypasano więc bydło, a z glinianego podłoża wydobywano surowiec dla łódzkiej cegielni.

„Nie chodźcie wieczorem na Pragę”

Nieprzychylna czas dla rozwoju łódzkiej Pragi minęła z chwilą wybudowania w 1866 roku linii kolei żelaznej z Kuluszek do Łodzi. Bliskość kolei sprawiła, że dzielnica ta naraz stała się obiektem zainteresowań miejscowych przemysłowców i finansistów. Wkrótce też wzdłuż toru kolejowego, po jego południowej stronie, wytyczono sieć ulic i uliczek, przy których wyrosły pierwsze domy czynszowe i zakłady przemysłowe.

Najważniejszym przedsięwzięciem tej części Pragi stała się gazownia, zbudowana przez konsorcjum zagraniczne W. C. Holmesa w 1869 roku na dwóch placach miejskich przy ul. Targowej. W zakładzie tym znalazło zatrudnienie kilkuset okolicznych mieszkańców.

Zasadniczy trzon zaludnienia Pragi stanowili wówczas robotnicy fabryczni, kolejarze, rzemieślnicy i drobni sklepikarze. Osiedli tu także sporo ludzi ze świata przestępczego, żyjących z rozbójnictwa i kradzieży. Im właśnie ta peryferyjna dzielnica miasta zawdzięczała, iż wśród mieszkańców Łodzi nie cieszyła się dobrą opinią. Łobuzerka z Pragi grasowała szczególnie w pobliżu zagajnika miejskiego, stanowiącego dla wielu łodzińskich mieszkańców wypoczynku. Spacerować w zagajniku nie zawsze było bezpiecznie, zwłaszcza dla samotnych kobiet, narażonych na zaczepki miejscowych chuliganów. Dla uchronienia łobuzerskich wyczynów policja pospół z kozakami urzędowała w zagajniku, aresztując awanturników, głównie za przestępstwa „przećwiko” czy „niewściec”. Prasa łódzka ostrzegała czytelników, aby bez istotnej potrzeby nie zapuszczali się na Pragę, zwłaszcza w wieczornej porze. Ówczesny „Dziennik Łódzki” pisał: „Nie chodźcie wieczorem na Pragę”.

Część Pragi leżąca po północnej stronie linii kolejowej zabudowywała się znacznie później. Jeszcze w latach dwudziestych zeszłego stulecia miała ona sielski wykład. Przy drodze stanowiącej przedłużenie ul. Dzielnej (Narutowicza) położone były dwa stawy, nad którymi nachylały się stare wierzby. Od nich właśnie wzięła nazwę ul. Wierzbowa. Pod koniec stulecia stawy praktycznie zostały zasuszone. Na miejscu jednego z nich zbudowano w 1910 roku gmach szkoły Zeramadenia Kunców m. Łodzi, zajmowany obecnie przez placówki Uniwersytetu Łódzkiego.

W 1898 roku w tej części miasta powstała zajezdnia tramwajowa. Długość komunikacji sprawiła, że wkrótce rozwinął się tu znaczny ruch budowlany. Pragę północną, zabudowaną solidnymi domami i willami, w przeciwieństwie do południowej — typowo robotniczej — zasiedlili głównie ludzie zamożni. Ku ich wygodzie władze miejskie założyły tu dwa ogrody publiczne.

W 1874 roku na resztówce leśnej położonej w sąsiedztwie Dworca Fabrycznego urządzono ogród spacerowy, zwany parkiem Kolejowym albo Praskim (obecnie park im. S. Moniuszki). Po dziesięciu latach część ogrodu przylegającą do ul. Widzewskiej (Kilińskiego) zajęto pod budowę cerkwi prawosławnej św. Aleksandra. Park Praski otoczony był drewnianymi sztachetami na podmurówce i posiadał dwie bramy, przy których pilnowali porządku dozorczy miejscy.

Drugi park publiczny na Pradze założono w 1902 roku. Podobnie jak park Kolejowy urządzenie zostało na resztówce leśnej. Ogródzono go żelazną siatką na podmurówce od strony ulicy centralnej, a od pozostałych — drewnianym parkanem. Początkowo zwano go „Ogrodem przy ul. Dzielnej”, a po odzyskaniu niepodległości nadano mu nazwę parku im. S. Staszica. W parku tym zachowała się ogromna toполя, zwana „Weroniką”, rosnąca od strony ul. Uniwersyteckiej.

Główną arterią komunikacyjną dla południowej części Pragi była ul. Przejazd (Tuwima), zaś dla północnej części — ul. Dzielna (Narutowicza). Perspektywe pierwszej ulicy zamykał zagajnik miejski, drugiej zaś... wiatrak. Stał on na pagórku w okolicy dzisiejszej radiostacji i widoczny był z ul. Piotrkowskiej jeszcze w latach międzywojennych.

Nasyb kolei żelaznej do Kuluszek przez długie lata rozgraniczał Pragę biedoty od Pragi ludzi zamożnych. Na całej długości planu kolejowego, począwszy od ul. Mikołajewskiej (Sienkiewicza) aż po zagajnik miejski, nie było bowiem żadnego przejazdu. Chcąc się dostać do części miasta położonej po przeciwnej stronie torowiska kolejowego, trzeba było dokonać dalekiego objazdu. Piesi mieszkańcy dla skrócenia sobie drogi przedostawali się na drugą stronę poprzez wysoki nasyp, narażając się na wpadnięcie pod pociąg, albo też korzystali z przerzutu na ścieki, znajdującego się pod nasypem kolejowym na styku z ul. Tramwajową. Był to wąski i niski, nie oświetlony tunel, którego środkiem płynęła cuchnąca ciecz. Przechodnie, aby nie wpaść do ścieku, rozjaśniali sobie ciemności świeczką lub zapalnikami.

Opisywaną dzielnicę Łodzi jeszcze na początku naszego stulecia znano potocznie Pragę. Z upływem czasu nazwa ta wyszła całkowicie z użycia.

Na koniec warto dodać, że na łódzkiej Pradze, przy ul. Nowej 5, przez pewien czas mieszkał poeta i satyryk Artur Głuszyński. Niektóre ze swoich wierszyków satyrycznych podpisywał nawet pseudonimem „Felek z Pragi”. Również w tej dzielnicy, przy ul. Tuwima 41, zamieszkiwała w 1901 roku wybitna działaczka ruchu robotniczego Maria Koszutska.

WACŁAW PAWLAK

1

Szkodliwy garb przyzwyczajenia

Człowiek jest, jak wiadomo, istotą konserwatywną. Jak już się do czegoś przyzwyczai, z czymś oswoi i polubi to koniec. Kijem nie odpędzisz, namową nie przekonasz. Z tego to głównie powodu tak duża popularnością w dziejach ludzkości cieszyły się zjawiska rewolucji. Już to plemię zbuntowało się przeciw kłicie wodza i czarownika, już to przewrót pałacowy pozwolił nowym ludziom nacieszyć się trochę słodką władzą, już to siły wytwórcze nie pasowały do stosunków produkcji względnie na odwrót.

Konserwatyzm człowieka wiąże się bowiem nierozdzielnie z posiadaniem. Czegokolwiek Osoba nie posiadająca niczego, a w każdym bądź razie nieczego, co posiadać, zagarnąć, okupić lub ukrąść chciałby inni, nie ma szans stać się konserwatystą. Przy tym należy rozróżnić konserwatystów na byłych, aktualnych i przyszłych. Ci pierwsi są ofiarami innych i trzecich. Tak się bowiem dzieje, że jak człowiek nie ma nic, to chciałby zmienić ten stan rzeczy. Są oczywiście tacy co nie tylko nie mają, ale i nie pragną mieć, ale to jest ich sprawa. Cała reszta jednak chce mieć, cokolwiek by to znaczyło. Węć tym drugim i trzecim (aktualnym i przyszłym) w gardle ościsła staje, że inni mają. Z tej zawziętości gotowi są przeprowadzić rewolucję, ruszyć z posad bryle, albo jeszcze coś innego. Tylko dlatego, że oni też wreszcie chcą trochę pobyc konserwatystami, nie zmieniać i nie pozwolić różnym nieodpowiedzialnym elementom anarchizującym naruszać spokój, ład i porządek. I tak się toczy kolo historii. Najpierw jedni siedzą najbliżej bufetu i to są właśnie konserwatysty. Potem inni też chcą się dopchać bliżej ludy i w ten sposób konserwatysty zmieniają się w byłych konserwatystów, a buntownicy stają się konserwatystami. Z kolei oni pilnują bufetu przed aktualnymi buntownikami, i robią to całkiem sprytnie, wkładają w starania mnóstwo wysiłku, choć wiadomo, że prawa rozwoju działają z żelazną konsekwencją. No i w końcu przyjdzie chwila, gdy aktualni konserwatysty zamieniają się w byłych i da capo.

Pewną innowacją historyczną jest teoria mówiąca, że jedynym sposobem uniknięcia nudnego powtarzania ograniczonych chwytów z rewolucjami i obroną anten regimów jest metoda profilaktycznego odzwyczajania. Polega to na tym, że dokłada się wszelkich starań by aktualnie siedzącym najbliżej ludy sukcesywnie obryzdywać ich sytuację. W ten sposób osiąga się cel podwójny. Aktualni konserwatysty nie popadają w nałóg korzystania z dobrodziejstw, jakie niesie posiadanie, nie nabierają przykrej cechy pazerności, nie rośnie im apetyt w miarę jedzenia. A przede wszystkim stale i wciąż wpaja się im, że to, do czego tak bardzo chcieliby się przywiązać, ów błogi spokój posiadania, tak naprawdę nie jest warte funta kłaków. Daje to korzyść w tej postaci, że z jednej strony — konserwatysty nie palą się do obrony Baru, z drugiej zaś — przyszli konserwatysty a obecni buntownicy tracą ochotę do zdobywania twardzi. Oni po prostu widzą, że nie ma o co walczyć, że w każdej chwili w bufcie może być ogłoszony remanent, albo kontrolny spis towarów, albo z powodu choroby by personelu lokal zostanie zamknięty do odwołania. Węć się im odciekawa. W ten prosty sposób, za jednym zamachem udaje się przezwytyczyć nieunikniony dotąd błąd dziejów oraz zapewnić sobie trwałą kontrolę nad polityką kadrową przy ładzie bufetu.

Udane próby zastosowania w praktyce powyższej teorii daje się zaobserwować w naszym kraju. Czyny to bezpodstawnym ustawicze biadolenie jakobymy byli zapóźnieni w stosunku.

Jedną z form jest na przykład odzwyczajanie ludności od zdobytego ognia w procesie wspinania się po szczeblach cywilizacji asortymentu dóbr lub przedmiotów, do których użytkowania zdążyła ludność niebezpiecznie przywyknąć. To grozi popadnięciem w szpony konserwatyizmu, a więc jest niezgodne z teorią. Głównie chodzi o dobra i przedmioty, o których mylnie mniama się, że ułatwiają życie lub też czynią je wygodniejszym. W ten sposób na liście proskrypcyjnej znalazły się telefony znane ludzkości od dość dawna, ale ludność polskiej niedostatecznie. No i bardzo dobrze, bo kto wie co mogłoby zacząć się dziać, gdyby tak każdy mógł mieć telefon — i korzystać z niego na dodatek. Podobny los (przykład wyjątkowo udanej realizacji zasady odzwyczajania) spotkał dziwny przedmiot, którym umiano, co śmieszniejsze, kiedyś się posługiwać, a dziś ta umiejętność niemal całkowicie zanikła. Nazywało się to bidet, czy jakoś tak, ale nie można być pewnym, bowiem ostatni egzemplarz w stanie nadającym się do użytku i stosowany w praktyce widziano u przedstawicieli warstw imperialistycznych odsunętych od bufetu w trakcie ostatniej zmiany kadrowej przy ładzie.

W ten sposób realizuje się odwieczne marzenia ludzkości o trwałym porządku. Bo proszę — społeczeństwo otrzymało możliwość (kontrolowaną i nie w nadmiarze, żeby się za bardzo nie nachapało) korzystania z rozlicznych dóbr cywilizacyjnych. No i co się dzieje? Społeczeństwo nie dorosło jeszcze. Omyłkowo bierze saksofony za sedesy, telefonów używa do zakładania trybu urzędowania bardzo ważnych instytucji, a w ogóle to nie potrafi normalnie kupować w normalnych sklepach, tylko się rzuca jak głupie, kiedy coś rzuci, wynosi wanny z łazienek w nowych blokach, żeby mieć gdzie hodować króliki i nierogacizny. Węć społeczeństwo nie dorosło.

Przy okazji załatwiamy niewywiecone donosy problem konfrontacji ideologicznej toczącej się w dzisiejszym złożonym świecie. Oto zwalczani przez nas wytrwale zwolennicy wyfractego modelu socjalizmu otrzymują nacończony dowód, że zgubne przyzwyczajenie do używania smoków nie popłaca, bo można wytworzyć ubranko uwalniające kufajkę. I ciepła, i na wszystkie okazje.

MALAGA

2

Kanadyjskie borówki

Na urlopie człowiek poznaje zupełnie inną stronę życia niż w pozostałe jedenaście miesięcy. Siedzą sobie we wczesnej jadalni i czytają z trudem odczytany gazetę. Przy stoliku obok mamusia z pociechami. Pociągają się spiesznie na plażę, a tu mamy kąpiel. Węć już z przymusem, jedzenie im w buzi rośnie. Mamom się nudzi, więc konwersują.

— Ja wie pani, to jestem bardzo ostrożna. Lepiej na zimne trzy razy podmuchać niż raz się sparzyć. Kupuję tylko to, kiedy wiem, że to jest zdrowe.

— A jak pani poznała? — No, sposoby są różne. Na przykład teraz nie kupuję jagód, bo to wie pani, jedni mówią, że zdrowe a inni, że nie.

— To, co pani kupuje? Przecież dzieci muszą mieć witaminy.

— Kupuję tylko kanadyjskie borówki.

— Kanadyjskie? — No tak, z importu! Nie wytrzymałem.

— Z jakiego importu? — Wtrącalem się. — Trzy kilometry stąd jest cała plantacja kanadyjskich borówek. To taki rodzaj borówki, bardzo zdrowa, na duzo witamin. Proszę się wybrać na spacer i sprawdzić!

W mamy jakby grom strze-

lił z jasnego nieba. Słowem się nie odezwały. Ale gdyby mogły, już bym tego nie napisał. W mogile ciemnej spoczywałbym na wieki.

Znajomy przyjechał z Łodzi i ucieczył się nawet na mój widok. Myślałem, że z sympatii. Ale nie. Z powodu brody.

— Tobie to dobrze — powiada — masz brodę i nie musisz się golić.

— Nie jest to wszakże prawda — ja mu na to — bo tu i ówdzie muszę to i owo podgolić.

— No, ale nie tyle co ja — on mi na to.

— W czym rzecz? Zapuszcz brodę.

— Będę musiał chyba, bo nie wiem, czy wiesz, że w Łodzi zabrakło kremu do golenia.

— Pewnie to brak chwilowości?

— Jakaś tajemnicza sprawa, bo handlowcy nie mogą wyjaśnić przyczyny. Produkują się tyle samo, a brakuje.

Podobnie było na początku ruchu turystycznego z papierosami „Carmen”. Ludzie kupowali na zapas. Wróćmy wyścisć do swoich miast, skończy się ogólnonarodowy ruch, to i różne rzeczy wrócą na sklepowe półki. Znajomy jednak poszedł niepołączony szukać kremu do golenia. I chyba znalazł, bo brody nie zapuścił.

Ludzie są niekiedy bezwzględni. Stoją sobie dwie panie w kolejce. Postać trochę trzeba, w kolejce nudno, więc obgadują znajomych. Całe szczęście, że tych pań nie znam i nie znam osób, o których plotkowały. A gdybym znał przypadkiem, to co? Ale nie znam, nie wiem o kogo chodzi, mogę opowiedzieć, tym bardziej, że opowieść to raczej zabawna, gdyż jak się okazało znajomi owych pań, to ludzie wielce oryginalni.

— Jak wasz romans — pytam ją. A ona, że nie ma żadnego romansu. Ich połączyły zamiłowania i wspólne zainteresowania geografiami. Piszą razem jakąś pracę. Węć zdziwiłam się. No... ale życie jest sobą? Żyja. Węć, jak to tak? A ona — wyobraź sobie — mówi najspokojniej w świecie, że on się jej po prostu podobal, bo — posłuchaj — ma bardzo owłosione nogi i... plecy.

— E, to nie nadzwyczajnego. Ty wiesz, że Zydek nie mógł napisać pracy doktorskiej, bo... całe wieczory z Gabryśką grał w ping-ponga. Musieli tak długo grać, bo ona kiedyś przyjechała do pracy... w nocnej koszuli. Włożyła płaszcz na koszulę i przyjechała. Niech skończą. To myślenie miały, że oni tak całe noce figlują i dlatego ona taka roztrzępiona. Pytam ją, jak tam sprawy, kiedy będzie maleństwo. A ona — posłuchaj — na to, że nie miała jeszcze czasu i nie... próbowała. Trzy miesiące po ślubie.

— A znasz tę historię z Kazkiem i Jagną. Kazek, wiesz, robi na półtora etatu, bo im forsa potrzebna. Odbierają Glenka z przedszkola na zmianę. Umawiają się na przystanku, on wysadza Glenka, ona go zabiera i jedzie do domu. Albo odwrotnie. Kazek wziął Glenka z przedszkola, w tramwaju czytał jakieś ważne opracowanie, zobaczył, że stoi blondyna w szarym płaszczu, wysadził malucha i pojechał. Z domu jest telefon. — Gdzie jest Glenek? — Przecież ci wysadziłem na przystanku. — Ale ja się spóźniłam i nie byłam. — No to on tam jeszcze stoi. I — co powiesz — stał.

Dzieci mamy mądrzejsze od rodziców. Tylko dlaczego później...

ZENON POROWATY

3

Nagle zastępstwo

Cuda nad Wisłą

Od pewnego czasu w naszym pięknym kraju nad Wisłą co i raz zdarzają się cuda. Cuda chodzą stadami i są — w gruncie rzeczy — nieco monotonne: oto na przydrożnych drzewach wierni stwierdzają występowanie świętych pańskich (no... może nie samych świętych, raczej ich portretów).

Ca ciekawa, wśród świętych można także znaleźć podobiznę samego papieża!

Pamiętam, przed dwudziestoma, chyba, laty cuda też chodziły stadami — wówczas było to tzw. „odnawianie się” obrazów. Już to w kościołach, już w domach prywatnych. Obrazy święte odnawiały się bez jakiegokolwiek pomocy konserwatora zabytków ani nikogo takiego. Same z siebie, czyli w sposób cudowny...

Potem odnawiały się samostannie i samodzielnie kryte miedzianą blachą dachy i kopuły obiektów sakralnych. Też masowo...

Kler się przed tymi cudami bronił jak mógł, ogłaszał bardzo poważnie, że to nie żadne cuda tylko zbiorowa sugestia. Nie pomagalo. I nie pomaga nadal — jak czytelnik mógł się dowiedzieć z raportu Romana Kubiaka pł. „Lipa w Glupicach” — pewien ksiądz nie widział na rzeczonej lipie żadnych wizerunków. Nie widział, nie widział, aż zobaczył. Nic dziwnego: trzystuosobowy tłum bardzo na przerażonego kapłana nastawał, żeby ów wreszcie zobaczył cudowne wizerunki. Cóż miał biedny począć? Zobaczyć i już.

Nie tylko stałość cudownych zjawisk jest zadziwiająca. Zdziwiała także niesłychana monotonia, wręcz nuda, wiejąca z cudownych zjawisk. A przecież zarówno Stary jak Nowy Testament dostarczają przykładów zjawisk cudownych wielce efektownych i dużo atrakcyjniejszych od odnawiania obrazów i ukazywania się wizerunków świętych i wyższego duchowieństwa.

Oto, na przykład, przejście suchą stopą przez Morze Czerwone. U nas jakos nikt przez Bałtyk pchotać nie chadza. Choć, jeśli zaścianianie tego morza potrwa jeszcze parę lat w takim tempie jak dotąd, to — kto wie — może i pchotką do Szwecji będzie można. Ileż dodatkowej roboty dla wojsistów i celników!

Albo inny przykład. Cudowne rozmnożenie chleba i ryb. To nie byłoby takie złe. Choć, prawdę mówiąc, nie takie cuda robią specjaliści od zbiorowej żywienia, zwłaszcza w miejscowościach wczasowych i uzdrowiskowych. A cudownego rozmnożenia baleronu i poledwicy nie opisują nawet święte księgi. Można dlatego, że ani ich bohaterowie, ani autorzy nie jadalni wierzywny?

Węćmy taką mannę z nieba. Też nieźle, choć właściwie po cholera nam tyle manny? Dorosły tego nie tknie, a dzieci i tak tylko pod silną presją i z wielką niechęcią.

Cudowne uzdrowienia może się i w naszej służbie zdrowia zdarzają, ale lekarze niechętnie się do nich przynajmą. A nuż ktoś w to uwierzy i do przychodni zwał się tłumy? Po co? Nasza służba zdrowia ma i tak mnóstwo papierkowej roboty, nagły przyrost ilości pacjentów mógłby ją dezorganizować kompletnie.

Jedyny tego rodzaju przypadek zdarzył się podobno w Plocku. Niejaki Stanisław Łazarz, chory na zapalenie płuc, wstał i „wziął łóżko swoje” jak napisano w Piśmie. Nie leczył się on jednak w u- spoleczonej przychodni, tylko stara ciotka postawiła mu banki...

Nasz piękny kraj mlekiem i miodem płynący słynie z cudów od wieków. Ale jakieś szczególne nasilenie przeżywa w wieku dwudziestym, kiedy to właśnie w innych krajach cudotwórstwo jakby zanikło. Jeden zwłaszcza cud powtarza się u nas z niezwykłą regularnością: powtórzenie cudu w Kanie Galilejskiej. Opowiada mi niedawno, że w pewnej wsi województwa łódzkiego zaobserwowano następujące zjawisko: sklepowa w jedynym w tej miejscowości sklepie spożywczym sprzedała była w piątek zaledwie cztery butelki wina marki „Wino”, a przez całą sobotę i niedzielę dorodna młodzież męska w całej wsi znajdowała się „w stanie wskazywającym”. Nawet bardzo wskazującym...

Trzeba tu jednak dodać, że ogromna większość społeczeństwa, w tym także organa ścigania, w takie cuda nie wierzą. Co innego w cud gospodarczy. W gruncie rzeczy większość z nas wierzy, że któregoś pięknego dnia, bez większego wysiłku z naszej strony, przy pomocy wytrysku wielkiej ropy lub innym niecodziennym sposobem wydobędziemy się z kryzysu, spłacimy dług i jeszcze nas będą prosić o pożyczkę!

ANDRZEJ KAROL

(14)

NR 35 (1483), XXIX, 30 SIERPNIA 1986 R.